



## Biblioteki



- § 1. Prawo T-wa V
- § 2. Za rowdowani
- § 3. Ilość dwóch.
- § 4. W wy, zwolnić
- § 5. Książka beletrystyczna powinna być zwrócona w ciągu dwóch tygodni, — naukowa w ciągu czterech tygodni.
- § 6. Wypożyczający może po porozumieniu się z bibliotekarzem uzyskać prologatę na następny okres.
- § 7. Za przetrzymanie książki poza termin płaci się 2 gr. od tomu za każdy dzień zwłoki.
- § 8. Pożyczający płaci za zniszczenie lub zgubienie książki kwotę oznaczoną przez Komisję Biblioteczną.
- § 9. Przed końcem roku szkolnego wszystkie pożyczone książki muszą być bezwarunkowo zwrócone pod grozą wstrzymania wizy dziekańskiej.
- § 10. Wykroczenie przeciw Regulaminowi pociąga za sobą utratę prawa korzystania z Biblioteki.

Regulamin ten uchwalono na Nadzwyczajnem Posiedzeniu Wydziału Tow. Wzaj. Pom. U. U. J. w dniu 4/VI 1926.

U. J.

członek  
utraci.  
podsko-

kraczać

urz ze-  
jednak

one p.  
byc bezw

tyścia

~~526~~

~~BIBLIOTEKA~~  
~~W KRAKOWIE~~





BIBLIOTEKA

526

# PAPIÉRY PO GLINCE.

WOWA KSIĘGARNIA  
L: JDZIKOWSKIEGO  
• W KIJOWIE. •

186

181100

182111

18110 000 1811

18110 000 1811

526

BIBLIOTEKA

PAPIÉRY

PO

G L I N C E.

BIBLIOTEKA

przepisał

J. J. KRASZEWSKI.

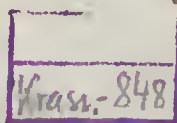
ODBITKA Z CZASOPISMA „NIWA.”



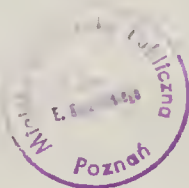
WARSZAWA.

Skład główny w księgarni MAURYCEGO ORGELBRANDA.

1872.



Дозволено Цензурою Варшава, 19 Апрѣля 1872 г..



---

w Drukarni J. SIKORSKIEGO  
ulica Niecała Nr 11.



Wiele napisano i wiele się jeszcze pisać będzie o nieśwież-  
skich czasach, za rządów ordynacyi ś. p. księcia Karola Radzi-  
willi panie kochanku, dopóki ludzi stanie, którzy jego i żywot  
ów, jakiego już dziś śladu nie zostało, oglądali. Przecież śmia-  
ło to powiedzieć można, iżby i na wolowej skórce wszystkich  
wspomnień radziwillowskich nie spisał. Było na co patrzeć  
i czemu się dziwować, gdy moc a potęga szła z fantazyją w pa-  
rze; więc też dokazywały obie takich spraw a rzeczy, o jakie  
gdzieindziej trudno. Świat przejechać a podobnych nie ujrzeć.  
I powiedzieć można, iż wszystko co się o tych czasach, ludziach  
i rzeczach prawić, nie tylko przesadnym nie jest, ale dużo do  
prawdy nie doszło. Wiele osobliwszych przygód dla tego już  
dziś powtarzać trudno, żeby im nikt wierzyć nie chciał. Czas  
i ludzie byli całc inne, czyny téż, których my celu nie rozumie-  
my; a często jedynym bywało tylko pokazanie światu, iż niemo-  
żliwe możnemu panu jest możebnym.

Historyi takich siła, ja co to piszę, pamiętam, ale nie myślę  
się o opowiadanie ich kuśić; były tam inne, na pozór proste  
sobie i pospolite sprawy z aglomeracyi ludzi osobliwszych wy-  
nikające, które niemniej zajmować mogły umysły poważniejsze,  
a naturę człowieczą obserwować lubiące. Dwór ks. Karola  
jak jego włóści i panowanie, jak bogactwa, był ogromny. Po-  
większej części składał się on ze szlachty, z familijantów, któ-  
rych policzywszy rodziny, okazało się, iż niemal osobny mały  
światek stanowił i jakby kraj udzielny. Żyło to mnóstwo w sa-  
mym Nieświeżu, po dobrach i miasteczkach książęcych, ba  
w zamku i około osoby księcia jegomości. Doliczywszy do

dworu, oficyjalistów, posesorów, wojskowe komendy, ekonomów, starych rodziny klientów, duchowieństwo, ubogich krewniaków z dziesiątej wody po kisielu, na tysiące szła liczba. Nie brakło też i tak zwanych rezydentów różnego kalibru, którzy się z łaski książęcej, przy stole, na jurgielcie i podarkach utrzymywali, nie robiąc nic, tylko pana Boga i dobrodzieja chwalać.

Jużem to ja nigdy ludzi, co się puszczają na ów chleb próżniaczy nie lubił. Kalectwo i starość poniekąd wymawiają takich pasożytów, inaczej to już nieciekawej natury oznaka, gdy kto niezapracowany chleb łaskawy zjada. Takich darmozjów w samym Nieswieżu było podostatkiem, bo książę, obyczajem rodziny i dla zachowania w narodzie miłości i popularności, łatwo przyjmował, ugaszczal i zatrzymywał.

Służyłem ja podówczas w regimencie księcia, a staliśmy ciągle prawie załogą w Nieswieżu i przy dworze się kręcili. Nie było tak dalece co i robić, bo choć czasem egzercerunek w polu sprawialiśmy, i dla dostojnych gości przyszło wystąpić, to potem tygodniami, ba miesiącami, czasu dosyć zostawało grać w maryjasza i ziewać. Książę zwłaszcza w późniejszym wieku fantazyją miał wielce zmienną, rzadziej wesolą, częściej chmurną, a choć przy obcych rad był okazywać humor pański, widział to każdy bliższy, iż szczęśliwym się nie czuł. Zabawiać go też starali się wszyscy jego dworacy, przyjaciele i cokolwiek nas było koło niego.

Roilo się ludu, dzień też nie przeszedł, żeby kto obcy nie przybył, posłaniec, szlachcie z prośbą, gość, klient, kwestarz, artysta, wirtuoz lub kupiec. Osobliwie ci, co za groszem gonili po świecie, ciągnęli tu jak w dyni, bo słynął książę z bogactwa nie daremnie, a gdy radziwiłłowską dunę kto zażyć umiał, sygnął niemal po królewsku. Używano wspaniałości i nadużywano. Wieszało się więc koło naszego dworu mnóstwo przybłądów. Niektórych z nich pozbyć się było trudno, a wielu gdy raz książę Karol przyjął i prosił by zostali, zasiadali na

całe lata, jedli, pili i żywili się odrobinami... a gospodarzowi z twarzy ich nazwać było trudno.

Raz pamiętam, po obiedzie, dzień był gorący i powietrze parne, towarzystwo całe, od stołu wstawszy, udało się za księciem do ogrodu. Była w nim altana grabowa, ogromna, dobrze utrzymywana, gęsta, cienista, a mogąca bodaj paręset osób pomieścić,—książę w niej spoczywać lubił, bo i słońca nie przepuszczała i gdyby pokropiło, nie łącno deszcz zmoczył, tak gęsto splecione miała gałęzie.

W pośrodku niej stół kamienny okrągły, dokola także ławy i jeszcze darniowe siedzenia rzędami były ustawione. *Honoratiores* zasiadali na kamieniach, reszta na darni, która chociaż miększa, miała tę niedogodność, iż wilgoć z siebie, w tém cienistem miejscu wzięta, sączyła, ale czasu lata nie dawało się to czuć bardzo.

Chociaż już wówczas w Nieświeżu nie pito tak jak bywało dawniej, i książę stracił był gust do gęstych puharów, nie odeszło się wszakże po obiedzie bez kieliszka, i ledwie do altany dwór zatoczył, słudzy tace z butelkami za nim przynieśli; pił kto chciał i co życzył. Wino na dni powszednie nie było osobliwsze, ale węgryn wytrawny i dający się pić. Gdyby też lepszego dawano, nie starczyłyby piwnice na tyle gęb i gardel. Corocznie szły z Węgier transporta, a stary zasób był niezmierny. Młodego wina nie używano, stawiono je na konserwę, a wytrawne porządkiem na stół promowano. Piwniczy księcia, co miał w zarządzie składy różnych napojów, bo tam znalazł każdy co chciał, pono ptasiego mléka tylko brakło — nie małą był figurą i dobrej też głowy a pomocników dostatkiem potrzebował, ażeby piwnicami zarządzać. Beczek było co nie miara, gasiorów i flaszek ani zliczyć. Krzątało się koło nich gawiedzi jak mrowia, niemieców, francuzów i swojskiego drobiu. Gdy książę Karol co osobliwego żądał z pod ostatniego klucza, gdzie były owe wojewodów wileńskich miody stare, sekty i wi-

na hiszpańskie, włoskie, burgundzkie, malmazyje i t. p. dawano na to kwity nawet. A do tych trunków kieliszki téż osobne występowały małe, różniete, z cyframi i herbami, robione umyślnie pono w Wenecyi, bom takich nigdzie nie widywał, przez przezroczyste szkło szły po nich jakby nici mleczno — białe świdderkiem. Gdy kieliszki te się ukazały, znak to był pewny, że nielada węgrzyna nalewać miano. Przyszła czasem księciu fantazyja ni stąd ni z owąd, kazal dać omszonego — i choć dwór tak był liczny, nie minął mały kieliszeczek nikogo. Tego dnia wszczęła się o tém rozmowa, czem pragnienie gasić. Jeneral Fryczyński, który na Wschodzie bywał wiele, i za końmi arabskimi, i w innych poselstwach, jał przeciwko innym utrzymywać, iż woda cale pragnienia nie gasi ale je powiększa jeszcze, iż z limonijowym sokiem téż nie wiele warta, a po owocach, szczególniej figach, na Wschodzie niemal śmiertelną bywa, dodając, że nie ma w gorąco jak nie wiele, a mocnego napoju. Wszczęła się tedy dysputa *pro et contra*, jak pić i co kiedy, a większość była za tém, iż pan Bóg wodę dla umywania stworzył.

— Już ja to panie kochanku czuję, do czego waszeci zmierzacie — rzekł książę, chcielibyście radziwiłłowskiej piwnicy zajrzeć do serca... no, to niech marszałek buteleczynę jaką wytrzęsje, panie kochanku, ale na dziś starszój nie, tylko księcia Krzysztofa I-go.

Wina bowiem zwaly się pospolicie od imienia książąt, za których na konserwę postawione były. Księcia Krzysztofa wino sławiło się, że miało tłustości i słodyczy wiele... mastkie było, gęste a mocne. Żaden likwor mu nie dorównał siłą a o smaku mówić nie ma co. Czas jest lepszym majstrem od człowieka i gdy co chce zrobić, nie dorówna mu żaden farmaceuta.

— Za łaskawém pozwoleniem waszój książęcej mości, przerwał Fryczyński, nim skorzystamy z dobroci księcia wojewody, proszę o słówko.

— Asindziej wiesz, panie kochanku, odparł książę, iż w rzeczypospolitój nieświeżskij wolność mówienia nieograniczona.

— Gdy się zgadalo o winach, kłaniając się dokończył jenerał, nie odrzeczy by W.Ks. Mośe odraportować, iż tu w Nieświeżu gości od tygodnia domagający się audyjeneyi szlachciec jakiś, który wcale szczególną rzecz ofiarować zamysła księcin. Właśnie jednak, dla tego, iż rzecz bałamutnie wygląda, niedopuszczano go...

— Mój Fryczyński, rzekł książę, po prostu z mostu bez przedmowy, mów co się święci. Straszny z ciebie retoryk, a ja tego nie lubię.

— Ale to szlachciec awantura... napisał gdzieś buteleczynę, powiada, że chce księciu odstąpić wino, które miał Noe wyszedłszy z arki spreparować. Jużci trudno temu uwierzyć! rozśmiał się Fryczyński.

— Czemu? czemu? przerwał książę— a bo z wać pana niedowiarek... Ja sam o takim winie słyszałem, tylko nie było pewności, czy Noe, czy ten bestyja syn jego Cham je preparował. Ale czemu szlachcieca mi nie daliście? posucha taka... przestało się o czém gadać i czém dychać, a szlachciecaście sobie na prywatny użytek skonfiskowali.

— Kiedy bo, on, książę, przerwał Niemeksza... szlachciec na kuglarza wygląda.

— Zapewne! a kuglarzy na świecie nie trzeba? spytał książę — co wam panie kochanku, o ludziach sądzić, dajecie mi go tu... ja go węchem poznam. Asan wiesz iż mi Pan Bóg dał, jak wszystkim Radziwiłłom ten dar, iż nosem czujemy szalbierzy. Dla tego panie kochanku tak mi trudno z ludźmi żyć, strasznie wszystko mi śmierdzi. Ale — dawajcie szlachcieca z winem Noego.

Pobiegli tedy dworzanie szukać, a książę się rozglądał niecierpliwie, gdy nareszcie ukazał się obiecany szlachciec, gro-



madnie prowadzony. Książę się nań popatrzył długo, a było na co — dalipan.

Naprzód, kaduk go wie z jakiej on tam familii pochodził, ale twarz miał czarną, osmaloną, niemal cygańską, zarost jak smoła; do tego kędzierzawy, oczy wypukłe jak węgle, zęby długie, białe... przeciągłe oblicze grubo pofałdowane jakby w zakładki... Tu i owdzie po niem rosły, nibykępiny brunatne, brodawki pokryte długimi włosami; ręce w których czapkę niósł, także były całe porosłe jak u niedźwiedzia... Idąc mიაတၢ်, ruchał, łamał, jak gdyby chciał kości potrzaskać, nogi mu latały, ręce się kołysały, głowa tańcowała, oczy obracały się, gęba mięła. Znać, taki miał obyczaj, czy też nań to z wie lkiej radości przyszło, iż miał być nareszcie do księcia dopuszczony. Ubiór też miał na sobie choć nasz, ale osobiwszego kroju i kolorów. Szarawary karminowe szerokie, buty malinowe, cytrynowy żupan atłasowy, a jasno zielony kontusz. Nie dosyć na tém, dla większej pstrocinny pas niebieski z czerwonym, a na kontuszu jeszcze szamerowanie pomarańczowe, niby ze złotem, czy z szychem. Przy czapce mu się piórko kołysało jakiegoś osobiwego też ptaka, mienione niebieskie z zieloném. Szabelka była u rękojeści turkusami sadzona, znać wschodnia. Jeszcze księcia nie dopadł, gdy mu się klaniać począł, a no tak jakby z ziemi orzechy miał zbierać... albo pokłony bić. Machnął się tak raz, drugi, trzeci, wyprostował gdyby tyczka od chmiełu i stał.

— Skąd to, panie kochanku, pan Bóg prowadzi? spytał książę.

— Prościuteńko ze Stambułu, rzekł szlachcic.

— Cóżes waćpan za jeden, czy szlachcic i kto go rodzi panie kochanku? spytał znowu książę.

Temu już się gęba ruszała zawczasu, taką miał gadać ochotę.

— Szlachcic z prapradziadów, zawołał, a niemałego imienia, mości książę, boć Krzyski.

— Krzyski? powtórzył książę cicho parę razy i ramionami ruszył.

— Od stu lat osiedliliśmy się teraz na Rusi.. mówił Krzyski, matka moja była *de domo Poraitarum*, szlazanka, Anna Ildefonsa. Ojciec chorążyni w pancernej chorągwi Księcia Hetmana Koronnego. Ja też służyłem wojskowo, byłem w seminarjum, gospodarzyłem, podróżowałem, próbowałem szczęścia rozmaicie, ale mi się pochwycić nie dało.

Książę patrzył nań bardzo ciekawie.

— Zkądżeż to waćpan, rzekł, do tego wina Noego, o którym to już słyszę, panie kochanku, mógł przyjść.

— Jedyne to, mogę powiedzieć szczęście, jakie mi się w życiu trafiło, odezwał się Krzyski. Dostałem go w Stanibule.

— Przecież turecy wina nie używają, zawołał książę, co mi to, panie kochanku duby smalone prawisz?

— Właśnie, m. książę, iż turecy wina nie piją, buteleczyna się tym sposobem uratowała. Są przecież dowody wierzytelne.

Tu sięgnął za kontusz po papiery, związane pstrym sznurkiem.

— Mówże asindziej, panie kochanku, mruknął książę.

W tej chwili zjawił się w ulicy pacholek, niosący pudełko, całe złotymi gwoździami nabijane, misternej roboty i wszyscy na to puzdro oczy zwrócili.

— Historyja na którą poprzysiądz mogę, gdyby potrzeba była, jest następująca, pospiesznie zaczął szlachcie. Do Stambułu dostałem się szukając szczęścia z bursztynami, przy dworze pana wojewody, który z ostatniem poselstwem jeździł.

— A cóżes to waszeć handlował? a szlachcie ofuknął książę.

— Jako żywo, nie handlowałem, obronił się Krzyski, wiozłem je w darze Sultanowi, obiecując sobie, iż mi się za to

wywdzieczy. Ale tam Agii Magi poszachrowali tak, żem i bur-sztynuów postradał i nie za nie nie dostał. Bawiąc tedy w Stambule, włóczyło się szczególniej po grekach. Natrafiłem na jednego, który handel prowadził ze Wschodem. Raz mnie poprosił na przekąskę i dużo o swoich podróżach do Armenii i Persyi rozповідаł, jakich tam osobliwości napytał... Między innymi, rzecze, dostałem się do piwnicy, w której Noc na konserwę wino stawik. Pargaminy były przy niej świadczące, iż Sem i jego potomkowie piwnicę tę w wielkiem poszanowaniu utrzymywali. Ale, choć jęj strzeżono, nie bez tego, żeby kradzieży nie było i z postępem czasu wysmoktali do kropli, tak że zostały tylko trzy butelki. Owe trzy ostatnie kupił ów grek Andropulos za wielkie pieniądze i jedną z nich cesarzowi austryackiemu sprzedał, drugą królowi francuzkiemu, a trzecią, mości książę chociaż z największą w świecie biędą i utrapieniem dostałem ją, a co się godnem okazało cesarzowi i królowi, w. ks. mości, miłościwemu panu, którego naród nasz z cesarzami i królami obcemi na równi stawia... przynoszę, nie żądając za to *curiosum* i nektar nie nadto, by mi łaski pańskie pozyskał i niesmiertelnością mógł Litwy *patrem*, obdarzyć.

Rzekł, poklonił się, nogę jedną naprzód wystawił, rękę odgiął skinąwszy na pacholka, wziął od niego owo puzdro i z wielką gracyją u nóg księcia je złożył. Książę jak zawsze był bardzo poważny, nawet gdy najpociesniejsze prawik rzeczy, tak tym razem niemal oglupiał, oka nie spuszczał z mówiącego.

— Noego wino, panie kochanku! rzekł po namyśle mruczając, warte gęby... ale jakż dowód, że go Cham dajweldrekiem nie podprawił? że go grecy, persy i ormijanie nie pofalszowali?

— Pieczęć wierzytelna Noego, który jak wiadomo powszechnie, rzekł Krzyski niezmieszany, gołąbkę z gałązką w pyszczku w herbie swym nosił.

To mówiąc przystąpił do puzdra, kluczykiem je otworzył, wieko odjął i ciekawie do koła zgromadzonym ukazał na



atłasowem miękkim posłaniu leżącą butelczynę. Stara ona była, pękata, omszona, wcale poważnie wyglądająca, i miała w istocie na korku pieczęć z wyobrażeniem gołębki.

Ostrożnie podjął Krzyski precyjoz ten i oddał go w ręce księcia, który opatrzywszy ze wszech stron... nazad go głową trzęsąc oddał szlachcicowi.

Trwało tedy chwilę milczenie, książę sumował i chmurno rozmyślał.

— Widzisz asindziej, ozwał się potem, niewiedzieć co z tém robić. Samemu pić niegodzi się, ludzi częstować nie ma czém... schowaj sobie asindziej to wino dla kogo takiego co sam pić ma determinacyją, dla mnie ono... na nic...

— Wszelako, odechrząknął książę, ponieważś się trudził ku mnie i okazał szacunek, którego nie lekceważę, będę się starał wywdzięczyc.

Prosił Krzyski bardzo, aby butelkę jego do skarbcu wzięto, na co książę głową kiwnął i *ad perpetuam rei memoriam* schować kazał, szlachcica zaś na dworze uczciwie podejmowano. Siedział tedy tydzień i dwa jedząc i pijąc dostatnio, a jak skoro się rozpatrzył między ludźmi, począł się wszędzie wświ-drowywać, językiem mleć, księcia zabawiać, faworytom pochlebiać i tak się umiał stać potrzebnym a miłym, iż mu książę Karol dał pomieszczenie we dworku właśnie po umarłym Barwinkowskim pozostałym. Domek był niczego, ogródek do niego całe nie brzydki i kawał łąki, gdzie się kobyła wypasać mogła. Wielkąśmy mieli w istocie pociechę z tego rezydenta, ale razem zagadkę.

Chociaż się z Krzyskich wywodził i wiele o procedencyi mówił, znać było, że wiele téż o sobie nie dopowiadał... a z rozmów co chwila wydawało się, iż był obieżyświat, jakich mało. Umiał potrosze wszystkiego, dobrze zgoła nie, ale o wszelkiej rzeczy językiem mleł tak, iż póki do roboty nie przyszło, zdawało się każdemu, iż równego sobie nie ma.

Książę, który był w ogóle dla ludzi i ludzkich słabości bardzo wyrozumiałym, ba do zbytku pobłażającym, tego furfanta, który mu się przypochlebiał wszetecznie, nie lubił. Dawał mu gadać, śmiał się, ale nigdy się do niego nie zwrócił, sam go nie zaczepił, nie okazał mu, by był z niego rad, słowem zbywał się natręta jako mógl. Nie to nie pomagało. Krzyski znać sobie powiedział, iż się w łaski wszrubować musi i zuchwale, bezwstydnie nabijał się księcin. Przy każdym przyjęciu, w każdej okazyi stawiał tak, aby spojrzenie pańskie go nie minęło, zachodził, szył się, wkręcał, głos zabierał, a choć go czasem spotkało milezenie, odprawa łada jaka, lub żart czyj. jakby nie słyszał. Połykał pigułkę i swoje dalej robił. W końcu obyliśmy się z nim i mniej się stał przykrym.

Bałamut był i kłamca jakich mało, ale kłamał bardzo umiejętnie, bo nigdy rzeczy z palca nie wyssał, ale odrobinę jakas pochwyiciwszy z muchy rozdymając wołu robił i gdy go złapano na fałszu, zawsze się z niego na swój sposób wyłgać umiał.

Gębę miał jak prości ludzie powiadają, gdyby cholewę; język wyprawny, nie zająknął się, nie zmieszkał, nie zarumienił, a z ludźmi nie gniewając się nigdy, tak sobie poczynął, iż łatwowierniejszych brał jak ryby na wędę. Dla wszystkich grzeczny, pokorny, pochlebny, zawsze wesół, niegniewający się nigdy za nic, w końcu już przyrósł do nieświeżskiego dworu i chociaż go nikt nie kochał, cierpiano go i bawiono się nim, a gdy go nie było, jakby nam już czegoś brakło.

Wszyscy go znali, znał on też wszystkich, bo się przedstawiał i natręcał każdemu... a służył w małych rzeczach bardzo ochotnie i żwawo. Żaden, z pozwoleniem pudel niemiecki wyczony służyć na dwóch łapach, tak nie tańczy przed swoim majstrem, jak ten przybłęda przed nami się kłaniał i wdzięczył.

Jakeśny go pierwszego dnia widzieli ubranym, tak już potem z małemi odnuianami, chadzał zawsze, wdział tylko nie-

kiedy kontusz buraczkowy a żupan niebieski, a szarawary żółte, bo pstro musiało być konieczne. Przy kołpaczku kitka jeśli nie ta, to inna, ale dalekowidna. Śmieli się z niego, raz nawet na teatrze go któryś z aktorów wyimitował doskonale, że się za boki trzymano, choć i on tam siedział. Ale myślicie że się pogniewał?, gdzie zaś, poszedł do aktora który się aż schował gdzieś ze strachu, uściśkał go, podziękował mu i rzekł do drżącego ze strachu. — „To było bardzo, bardzo ładnie, miły panie Gaska, ale waćpan trzymałeś się pod bok ot tak... a ja się nie biorę za bok nigdy, abym kogo przypadkiem łokciem nie potracił, nie jest to w mym charakterze.” Poczém sklonił się i poszedł.

Był wcale nie głupi, czasem dowcipny... a zresztą, co w nim siedziało pod tą skorupą pstrą... nikt nie wiedział. Plótł, że był z Rusi, wskazywał okolice, a okazywało się potem, że jako żywo, nikt go tam nie znał, ani widział.

Księżę panie kochanku nazywał go — sukcesorem Noego, i pod tem imieniem chodził we dworze. Najprzykrzejszem to księciu było, co on sobie wybrał właśnie dla przypodobania się jemu. Gdy księżę w dobrym był humorze, lubił opowiadać dykteryjki na pozór niedorzeczne... otóż Krzyski mu potakiwał, dorabiał do nich kontynuacje, poklaskiwał do zbytku, a gdy się tylko odezwał, księżę wraz milknął i posępniał.

Raz się tak stało, że księżę wedle zwyczaju opisywał jak się do nieba dostał i co tam widział; nieostrożny Krzyski też począł z różnych beczek swoje nad tém komentarze, a tuż wojewoda zamilkł. Koso spojrział i jak mak siał. Było to po wieczery. Rozeszli się zaraz wszyscy, zostało nas kilku, generał Fryczyński, ja, de Larzac komendant fortecy, Puzyna, którego księżę bardzo lubił, niejaki Macewicz i Zabłocki. Mieliśmy nazajutrz polować w Nalibokach, więc się jeszcze trzeba było rozmówić, jak i kiedy jechać mamy. Ale zamiast tego księżę który milczał posępnie, rzecze w końcu do Puzyny.

— A! mój kniaziu, kniazieczku, panie kochanku, ktoby mnie od tego Krzyskiego uwolnił, dałbym mu konia z rzędem... Kością w gardle mi siadł, panie kochanku, patrzeć na niego nie mogę, czysty arlekin... Widziałem gdzieś podobniutkiego we Włoszech na scenie. Ale to, panie kochanku, godzinę jaką pośmiać się z takiego djabła dobrze, a nosić się z nim dzień w dzień za nadrą... doje! panie kochanku! doje! za grzechy!

— Ale mości książę, zawołał Puzyna, cóż łatwiejszego, jutro mu przez marszałka dworu kazać powiedzieć, że go książę pan żegna, a dać mu jeszcze dziesięć dukatów na drogę, to go nie zobaczymy.

— O nie! tak, to nie, odparł książę, to nie po radziwiłłowsku, tak niemożna, trzeba żeby sobie dobrowolnie jechał z Nieświeża.

— A kiedy mu tu dobrze! i prochem go nie wykurzy nikt, zawołał Zabłocki.

— Niech mu książę da gdzie w lasach pięć chat dożywociem, pojedzie i będzie po nim, dodał Fryczyński.

— Jabym mu dziesięć dał na dziedzictwo... westchnął książę, ale, czy on głupi, panie kochanku, głodem mrzeć na dziesięciu chatach.

— Kiedy sobie żyje jak pan... Zadzierzawiłby folwarczek i powrócił... Zresztą niechby już sobie jadł i pił, dodał z boleścią książę, aby mi się nie wscibiał nieustannie, panie kochanku. A to, gdzie go nie posieją wyrosnie...

— E! mruknął Zabłocki, gdybyś wasza książęca mość dał plenipotencyję na piśmie, już byśmy go wykurzyli.

— Ale bo! zaraz wykurzyli! sprzeciwił się Radziwiłł, jeszcze bym ja go słowem jednem się pozbył, gdybym tylko chciał.. ale nie można inaczej, tylko na dobry sposób się go pozbyć.

Puzyna się zamyslił i po chwili powiada.

— Wié książę wojewoda co?—Krzyski ten pono ma wielki do ożenienia apetyt, a nie idzie mu o nie tylko, żeby ciepłą jejmość dostał, żeby nie pracując żył sobie dostatnio. Czyż to tu w Nieświeżu takich rezydentek braknie, coby się rade za mąż wydały, aby stare rejestra grzechów pokryć małżeńskim kobiercem? To go ożenić!!

— No! no! rzekł książę smutnie... mnie się zdaje panie kochanku, że on i od żony by się wyrwał, aby mi tu na karku siedzieć, panie kochanku!

Na tém się rozmowa skończyła, bo już przyszła była godzina księcia, o której zwykle do sypialni odchodził; nazajutrz pojechaliśmy do Nalibockiej puszczy, po tém książę fabrykę szklaną oglądał, gdzie mu właśnie ogromną wannę leli z niebieskiego szkła do kąpieli.

Rozmowy téj zdało się mało kto zapamiętał, i nie z niéj nie wyszło, ale w Nieświeżu było tak, iż ei co kochali księcia jegomości, słowu jego najmniejszemu na ziemię paść nie dali... ani o niem zapomnieli. Czego sobie książę życzył, musiało się stać, chyba by cale niepodobném było...

Tymczasem Krzyski po swojemu kręcił się we dworze...

Jakem powiedział wyżej na rezydentach w Nieświeżu i na rezydentkach téż nie zbywało cale. Kobiet dwór był pelen z dawniejszych czasów jeszcze po matce i po siostrach księcia pozostałych, wychowanek, krewnych, służebnych, szlachcianek dobrego nawet rodu, uboższych, majątniejszych, młodych, starzych, i było w czém wybierać. Malżeństwa pod wysoką protekcyją księcia kojarzyły się nieustannie. Młodzieży nie brakło, starzy téż na ów lep niewieści brać się dawali, mało który miesiąc upłynął, żebyśmy na weselu nie potańcowali. A trzeba wiedzieć, że gdy która z panien ze dworu za mąż szła, naprzód często gęsto brała posażek, albo pensyję, albo dożywocie, albo wieś zastawą, w najgorszym razie wyprawę i pod poduszkę oós, a wesele odprawywano w zamku. Książę zawsze rolę



starosty na siebie przybierał, uczta wspaniała z tańcami, pijatyka i teatr i bal... a czasami jeszcze przenosiny sprawiano.

Między innemi mieszkała na zamku panna Zoryna Piskulska.. Była to swojego czasu piękność tak znakomita, iż dla niej ludzie szaleli i w łby sobie strzelali. Jakim sposobem złożyło się, iż mimo to za mąż nie wyszła, trudno odgadnąć. Naprzód, że dla tej piękności bardzo głowę wysoko darła, a po cichu ludzie szeptali, iż się w nią sam książę swojego czasu kochał... Mogło to być, mogło nie być, pewna rzecz, iż miano dla niej szczególną konsyderacyję, poczynawszy od księcia samego, który ją w rękę całował, co na moje oczy widziałem. Panna Zoryna naówczas miała może lat pod czterdzieści, może więcej, ale nie wydawała się starszą nad to. Owszem była jeszcze bardzo piękną i zakonserwowaną osobliwie. Osoba była wzrostu słusznego, kibici cudnej, trzymająca się prosto i coś wchodzie, a ruchach mająca królewskiego. Głowę nosiła do góry podjętą, a oczy przysłonięne, z góry też na świat patrzyły. Chodziła wystrojona niezmiernie, u fryzowana zawsze, uróżowana, wybielona, z muszkami, woniało od niej z daleka, a nóżkę miała sławną, bo w trzewieczkach na korkach chodząc, gdy po sobie ślady zostawiła na piasku, nie były dłuższe od dziecięcej ręki. Garderobę miała prawdziwie księżęcą, nie wiem czym ją dwa razy w jednej sukni widział, przy tém kochała się w klejnotach i choć nie wiele ich nosiła, bo się odziewała bardzo smakownie, zawsze one oczy zwracały. Co do innych przymiotów, mało kto mógł co powiedzieć o pannie Zorynie, bo też ona nie wiele z kim mówić raczyła i przestawać. Niedgdyś śpiewała bardzo pięknie, potem gdy głos jej się zmienił, zaprzestała. Grała na klawicymbale *arte*, a ci, co dobrze byli poinformowani powiadali, że też i języki różne posiadała i książki jej nie były obce, bo nawet dla teatrum nieświeżskiego, tłómaczyła sztuki.

Rodziców, ani bliższych krewnych panna Piskulska nie miała, oprócz jednego brata, domatora, któremu książę wieś

puszczał dzierżawą. Jeden raz w rok przyjeżdżał się submitować księciu, ale rychło się go pozbywano, bo miał szkaradny defekt: jękał się przebrzydłe, a gdy się zająknął, pluł, kaszłał, dostawał niemal konwulsyi, póki słowa nie wykrztusił. Żebyć znając to do siebie milezał, ale nie, gaduła był, że mu się gęba nie zamykała. Niekiedy cały frazesjaki przejechał nie potknąwszy się, no i dobrze, a tuż jak go tam coś pociągnęło za język, choć siadłszy płacz.. zaczynała się taka historia, że nie wiedzieć co było począć, napadała go niemal wściekłość. A gdy się kto rozśmiał, gotów był zaraz szabli dobywać. To też tego niewygodanego braciszka panna Zoryna jak mogła najprędzej się z Nieświeża zbywała. Fortuny znać nie mieli po rodzicach, tylko wiadomém było, iż księżę przed aktami w Słucku prostym długiem: wziąłem, pożyczylem, do rąk własnych odliczyłem, zeznał pannie Zorynie pięć tysięcy czerwonych złotych, od których procent regularnie opłacano. A że prócz tego pobierała pensyję jako rezydentka i przyjaciółka siostr księcia jegomości, prezenta znaczne co święta, co Nowy Rok, na imieniny, a życie nie nie kosztowało, dworzanie cenili ją lekko na 10,000 czerw. złotych. Wiedziano i to, że gdyby się był który ożenił nie chybiła by go co najmniej tania dzierżawa wielkiej włości, może i co lepszego.

Pomimo tych oczywistych korzyści piękności i zalet osoby samój, nikt się tam ani ważył. Wiedział to dobrze każdy, iż się pod pantofel dostanie, a komuż swoboda nie miła. Wiedziano to też od ochmistrzyni stariej pani Wyżyńskiej, która ją od młodu znała i była z nią najlepšíj, prawie za matkę jej służąc, że się panna Zoryna Piskulska, wydać za mąż pragnęła bardzo... no, ale za lada kogo nie, o imię jej szczególniej szło i o prezencyję taką, żeby się za gbura nie wstydziła, bo miała znajomości i przyjaźni aż po królewskich dworach.

Zabłocki i Macewicz szczególnie do serca wzięli, żeby co z tym nieszczęsnym Krzyskiem zrobić. Jednego wieczora siedziemy w marszałkowskiej sali na dole, a było nas tam siła.

Jedni grali w maryjasza, drudzy w warcaby i szachy. Był też i Krzyski, ale z nim nikt do kart nie siadł, bo z nim nie robił co chciał. Kilka razy nam pokazywał takie z niemi sztuki, że rzekłbyś diabła miał w rękach: dobywał jaką zażądał, mieniał, pstryknął tylko, latały mu na zawołanie. Łykał, z gardła wyciągał, oczewista, że z nim grać nie było sposobu. Chodził tylko od jednego do drugiego, to tu, to tam słówkiem i ukłonem się zalecając.

W tem patrzę ja, przystępuje do niego Zabłocki. Trzeba go było znać jakem ja znał, żeby się domysleć, iż nie bez kozery. Zabłocki był marsowaty człek, żółty, chmurny, pocciwy z kośćmi, ale filut jakich mało. A kroku w życiu darmo nie zrobił. Z Krzyskim też dotąd cale się nic wdawał. Stałem nieco podał, słyszę taką rozmowę.

Mówi Zabłocki — Dużoś wac pan świata schodził, nie mało wydeptał podeszew... czy też jegomości nigdy na myśl nie przyszło się ożenić?

Krzyski obejrzał się, oblizał, ruchome brwi poskoczyły mu do góry i opadły... machnął ręką.

— Wiesz, panie Strukczaszy, (tak Zabłockiego honorowano) rzeczy, że w życiu mem mało o czem więcej myślałem jak o żniaszce. Do tego wzdychałem, ku temu zmierzałem, pracowałem, zabiegałem, kochałem się, biłem...

— Czyżes się waszmość kiedy w życiu bił; zapytał Zabłocki.

— A to pięknie! zawołał Krzyski, a cóżbym ja był za szlachcica, żebym cudzego mięsa nie próbował i swojego nie nastawił! Ale wracając do rzeczy, jedno mi się w życiu nie udawało, żadna mnie kobieta nie chciała...

Westchnął — Mieli szczęście i starsi i poczwarniejsi odcmnie, bo, nie zawsze byłem w czarnem ścierwie jak dzisiaj... udawałem się i do ubogich i do niemłodych... każda się Krzyskiego zlekła.

— A ja nie znajduję, żebyś jegomość znowu był tak wstrętny, albo taki straszny, rzekł Zabłocki.



— Jednakże taki już mój los! zawołał Krzyski i myślę w celibacie żywota dokonać.

— To by już prawdziwie było szkoda i dla imienia i dla plemienia, rzekł seryjo niby Zabłocki. Pomilczał chwilę a potem rzecze do Krzyskiego — Ino waszmość mnie posłuchaj, to my cię tu w Nieświeżu ożeniemy.

— Zgoda, ino z jedną restrykcyją, odezwał się Krzyski, ożenię się z kim chcą, ale musi się jejmość we mnie pokochać a ja w niej.

— Dużo asindziej pretendujesz, uśmiechając się powiada Zabłocki, do szczęścia dosyć połowy tego, ale i to by być mogło.

Pomilczeli chwilę, aż znowu mówi Strukeczaszye: co mi pan powiesz o pannie Izabelli Kurzance?

Panna Izabella trzeba wiedzieć miała lat szesnaście i pięknosć była osobliwa, wychowywała się jako sierota w Nieświeżu, po Kiskach będąc krewną radziwiłłowską. Miała trzykroć posagu a wyglądała jak różyczka polna.

Krzyski oczy ogroinnie wytrzeszczył.

— Żartujesz jegomość, czy drogi pytasz? rzecze.

— Nie żartuję, odezwał się marsowato jak zawsze Strukeczaszye, dla czegoż byś nie miał sięgnąć wysoko? Masz imię piękne... sam jesteś niczego... no, — i na sprycie nie zbywa.

— Alem za stary! rzekł Krzyski.

— No, to panna Szerczyńska?

Szerczyńska była ospowata, zła, ale dowcipna, w słowie dostała każdemu, języka jęj obawiali się wszyscy. Mimo to, ludziom wielu swoją śmiałością u księcia pomagała. Księżę uciekał przed nią ale ją lubił.

— Panna Szerczyńska! panna Szerczyńska... widzisz pannie Strukeczaszye, rzecz by potrzebowała wielkiego namysłu, odezwał się Krzyski. Naprzód trzebaby doświadczyć czy się człowiek do jęj twarzy przyzwyczai, potem czy język wytrzyma, na ostatek... czy ona... bo wymagająca...

— Ale osoba stateczna, energiczna i wielkich przy-  
miotów.

— Nie odrzucam i tego, byle kochanie przy tem było.

— Konkuruj asindziej o zmroku... rzekł Strukezaszyc.

— Kiedy oczy mam kocie, uśmiechnął się Krzyski; ale  
rzekłszy to począł Zabłockiemu ręce ściskać, dusić i całować  
go po ramionach, dziękując za przyjaźń. Znać wśród tych  
czułości na ucho mu Strukezaszyc szepnął. No, a panna Zory-  
na... toć to już choć na królewskie pokoje.

Krzyski to posłyszawszy, taką minę zrobił, że chyba jej opi-  
sać nie potrafię. Wyrażała ona, że chciałby i nie śmiał, że wy-  
sokie progi na jego nogi... że o tem nie ma co i mówić.

Zabłocki go tedy pod rękę wziął i uprowadził i ugady-  
wał przeszło pół godziny z nim się wodząc... a szeptał mu coś,  
a radził, aż gdy się rozstawali ujrzałem na twarzy Krzyskiego,  
iż go Strukezaszyc bodaj opętał. Poszedł zamysłony, zaduma-  
ny, niezważając na ludzi... Znać ważąc co mu ten w uszy na-  
kładał...

Nazajutrz była reprezentacyja w teatrum, z baletem...  
książę Jegomość w swój łoży siedział, dokoła dwór i cała pleć  
niewieścia.

Że z familii książęcej nikogo nie było, panna Zoryna  
Piskulska niemal pierwsze miejsce zajmowała. Przyszła wy-  
strojona slicznie, co u niej nie nowiną było, siadła wyprostowa-  
na, a że w sali nieco było gorąco, poczęła się wachlować. Już  
to nie darmo powiedziano, iż charakter niewiasty poznać naj-  
łatwiej z tego jak się z wachlarzem obchodzić umie... bo wa-  
chlarzem gada, śmieje się, gniewa, załeca, wabi... i dowodzi  
co zechce. W rękach panny Zoryny ów kawałek skrobanego  
drewna z papierem malowanym chodził jako żywy. Umiała  
się nim zakryć, z nim pieścić, przysłonić twarz, aby oczy tylko  
raniły, wzrok natrętny odepehnać, aktorom okazać ukontento-  
wanie lub obojętność, a z onęj gry wachlarza jużby w niej  
każdy mógł poznać, że niepospolitą była kobietą.

Wszyscy téż tego dnia, nie wyjmując i księcia, poglądali na nią, bo się królewsko piękną wydawała. Patrzę... Krzyski siadł w rogu naprzeciwko niej, wystrojony jaskrawo, i jak w tęczę w nią oczy wlepił. Otóż druga komedycja pomyślałem sobie, co téż to z tego będzie. Zrazu widzę panna Zoryna ani spostrzegła adoratora nowego, miała ich jeszcze podostatkiem, choć w czwartym krzyżyku. Ale że jój oczy biegały po sali choć zdawały się nie ruszać nawet, schwytały go na gorącym uczynku. Myślała snąć, że to przypadek i pominęła go wzrokiem. Po chwili, znowu zerk, mój Krzyski jak w tęczę, panna się odwróciła niby nie patrzy, udaje, że w tę stronę ani się zwraca, ale widzę, że go obserwuje. A ten jak usiadł, jak się zapatrzył, tak nieruchomy niby wryty na kontemplacyi jój oblicza skamieniał. Kiedy niekiedy tylko, znać mu dokuczyło tak w miejscu oczy trzymać, brwiami machnie, głęba westchnie i patrzy a patrzy.

Panna się zasłoniła wachlarzem, ale przez szpary doskonale mogła widzieć Krzyskiego, kiedy może z uwagą mu się nie przypatrywała wprzód, jęła więc pilno go obserwować. Ale główkę miała tak wykręconą, iżbyś przysięgł, że na teatrum ma oczy i uwagę zwrócone. Krzyski znać się widzeniem téj piękności coraz mocniej upijał, bo mu się twarz mieniła jak niebo na pogodę, nawet wypiękniał. Zrobił się jakiś czuły, melancholijny, o miłosierdzie wołający.

Po ustach panny Zoryny uśmieszek latał, szyderski zrazu, potem jakby go mróz ściał; wypowiadała panna, westchnęła sobie *privatim* i znowu jęła się Krzyskiemu przypatrywać, zawsze przez wachlarz.

Ten z niej oczów nie spuszczał.

Scena ta odbywała się tak, iż mało kto ją mógł widzieć i rozumieć. Mnie ciekawość brała, bom sobie z boku w twarzach jako w otwartych czytał książkach. Nagle wachlarz spadł, oczy panny Zoryny skierowały się otwarcie, śmiało na Krzyskiego i powiedziały mu—Dajże sobie asindziej pokój

i ruszaj z Bogiem skądś przyszedł. Wyprostowała się jeszcze sztywniej i poczęła, ruszywszy lekko ramionami, na teatrum już jawnie tylko uważać. Ale Krzyski, tak odprawiony, uparty był i swoje; patrzy a patrzy, jakby ją już zjeść pragnął. Pannie po ustach poleciał uśmieszek dumny, pogardliwy i szybko zérknęła na niego tylko, a potem na scenę. Siedziała przy niej Szerczyńska, poczęły coś szeptać i śmiać się, oczki czarne Szerczyńskiej poleciały w górę na owego Krzyskiego i uszczyptały go, ale był człek wytrzymały i nie dał się... Panny się śmiały, a on kontempłował.

Naostatek balet się skończył, a był turecki, bardzo przedziwny i sławna w nim swego czasu panienka, prosta chłopka z pod Ołyki, Żużlanka, tańczyła Sultankę, tak że zjadłbyś ją tam, tak jęć było słicznie, książę się lubował w niej, bo to było istne cacko i gdyby nie to, że ręce miała chłopskie, to by do greckiego posągu była podobna. Zmarła potem z pleury, wytańcowawszy się zimą do transpiracyi i zimnej napiwszy wody. Dużo po niej ludzi płakało. Jak piękna była, tak dobra, istny anioł, ino ręce miała chłopskie. Żużlanka tego wieczora cudów dokazywała, książę jęć posłał naszyjnik koralowy. Skończył się tedy ów balet i wyszliśmy na wieczерę wszyscy, mnie ciekawość brała, czy też na sali Krzyski się do panny Piskulskiej zbliżyć odważy.

Wszyscy jeszcze byli Żużlanką zajęci, książę w doskonałym humorze opowiadał jak na teatrum w Medyjolanie widział Angelinę pewną, która w powietrzu skoczywszy, dwa razy się skręciła nim na ziemię spadła, wchodzimy do sali jadalnej, stół w pogotowiu, głodni wszyscy, więc do mis.

Zwykle Krzyski nie był do nich ostatnim, tym razem patrzę, podaje krzesło pannie Piskulskiej, która usta zagryzła, popatrzyła nań zbliżona i podziękowawszy usiadła. Ten, o jedzeniu nie myśląc, stanął za krzesłem. Patrzę, Szerczyńska łokciem trąca pannę Zorynę i oznajmuje jęć, że kawaler na służbie, ale Piskulska głośno gadając, ani się już obróciła. Nie chciała go śnać ośmielić do zbytku.

Chociaż na straconym posterunku mój Krzyski dotrwał, talerze zmieniał, podskakiwał, słowa nawet dobrego nie dostał, a wieczery nie jadł. Znając żołądki rezydentów, mogłem ocenić z tego, że coś na seryjo myślał, kiedy kolacyją poświęcił, później już pono tylko pępek od gęsi dostał i trochę pałek nieogryzionych, ale obowiązku dopełnił.

Uważałem téż, iż Zabłocki z boku bardzo pilno się całej grze przypatrywał.

Gruchnęło tedy nazajutrz po całym Nieświeżu, iż się sukcesor Noego chce z panną Piskulską ożenić, ale nikt tego inaczej nie brał ino na żarty.

Znano pannę Zorynę, że wysoko bardzo patrzała i Pan Bóg ją wcale na żonę dla takiego Krzyskiego nie stworzył. Nikomu do głowy nie przyszło, ażeby z tego miało coś być na prawdę. We dworze najmniejszy odgłos zaraz księciu raportowano, więc tegoż wieczora doniesiono księciu do poduszki o całej sprawie, a ubrali ją dworacy, jak to oni umieją i złożono na Zabłockiego, że to on pono wędkę założył. Księżę ramionami ruszył tylko i krótko bardzo rzekł. Kiep, panie kochanku!

Księżę wstawał rano, modlił się, pił polewkę winną, lub kawę i często w pikowym szlafroku, nakształt dostatniego staroświeckiego kontusza zrobionym, chadzał długo, bo mu oficjaliści, sekretarze, rządcy i tehnąc do południa nie dawali. Tego dnia jak skoro wstał i umył się, kazał Zabłockiego wołać. Znalezione go w stajni i jak stał jeszcze koniem pachnący, przyszedł do księcia.

— A to ty! rzekł księżę, grożąc mu na nosie, a to ty, przecie! cóżes to najlepszego zmalował.

— Co, mości księżę? spytał Zabłocki, bo mi to sam potem opowiadał.

— Jeszcze się zapierasz! panie kochanku! ofuknął Raddziwiłł, co ci za koncept przypadł do głowy, swatać pannę Ciwunównę temu cyganowi Krzyskiemu? he?



Zabłocki stał strapiony, księżę chodził po sypialni, jakby tem był bardzo obrażony.

— Przypiął kwiatek do kożucha! panie kochanku! dobry jesteś do kojarzenia małżeństw... Przecież Ciwunówna czegoś może lepszego warta, panie kochanku, niż takiego przybłądy? Aleś mi się spisał!

— Ale ja mości księżę, wcale się w to nie wdawałem! rzekł Zabłocki.

— Nie jużiby téż Krzyski miał zuchwalstwo sam oczy podnieść na nią, gdybyś asindziej prochu na panewkę mu nie podsypał, panie kochanku. Kto aści o to prosił?

— Ale mości księżę?

— Ale nie kłamże, panie kochanku, boś ty to sprawił, przerwał Radziwiłł. Gdzieżeś miał oczy i zastanowienie, tego murzyna prowadzić do Ciwunówny Zoryny, która przecież...

Księżę aż sapał, postrzegł Zabłocki, że bodaj w nim pamięć dawnych amatorów, o których mówiono, nie wygasła.

Pomyślał téż, iż się księżę obraził samem przypuszczeniem, żeby taki drab sięgnął po rączkę, którą on ze smakiem niegdy całował. Widząc to Zabłocki, postanowił się wywinąć bądź co bądź. Ruszył ramionami i z tą surową, zakwaszoną miną jaką zawsze miał, przerwał księciu.

— Prawdziwie nie wiem, kto księciu Jegomości mógł taką bajkę spleść, ale ja przecież w swaty i dziewosłąby się nie bawię. To nie moja rzecz, to Wojnarowicza departament, proszę mnie daremnnie nie krzywdzić.

— Waćpan sądziłeś może, iż mi, panie kochanku, zrobisz przysługę wielką; żem narzekał na tego natręta Krzyskiego, więc go ożenić z Piskulską i w świat wyprawić. Aleś ruszył konceptem.

— Mości księżę, ja ani konceptem, ani niczem nie ruszałem, rzekł Zabłocki, proszę mnie niewinnie nie oskarżać.

— No, to któż to zrobił! proszę! kto! pytam kto, panie kochanku! zawołał księżę.

— Albo ja wiem!

— Zawołaj Wojnarowicza, panie kochanku, będę sędzią. Zabłocki rad, że się wyrwie po Wojnarowicza ruszył.

Kto Wojnarowicza Tadeusza nie znał, temu go ciężko będzie odmalować, bo należał do tych ludzi, po których gdy ich wiekuisty garncarz w formie ułał, rozbił ją, aby drugiego takiego oryginała nie było.

W jednym nim siedziało może dziesięciu, ale wszyscy nieczciwi ludzie. Przychodziły na niego dnie, że się tylko modlił i wyglądał na pobożnego pątnika, to znowu tygodniami całami dziczał na polowaniu, potem siadłszy grać dzień i noc zapominał jeść i pić aż mdlał, i rok w rękę kart nie wziął zakładwszy się; gdy się kochał to do szaleństwa, gdy processował to do wściekłości, a wszystkiego w świecie poprobował na słabości ludzkie i biedy litościwym był jak żaden. Z księciem bywało to się kochał, to się kłócił, żegnał, dwór opuszczał, na wieś jechał a księżę po niego, przepraszał i nazad prowadził, bo go bardzo lubił.

Wśród tych fantazji jedną miał stałą, ludzi kojarzyć i żenić, byle jak, ale koniecznie stułą wiązać.

— Bo to mosanie, wszystko złe z tego, mawiał, iż się ludzie nie dosyć żenią, jako jest przykazanie Boże. Jako żywo nie pewien siebie człowiek i nie wie kim jest póki się nie ożeni i nie przejdzie przez ogień probierczy. Wszystko złe z tego, mosanie, powtarzał wszystko złe... polaków wkrótce nie stanie...

A mimo to trzeba wiedzieć, że Wojnarowicz sam był nie żonaty i jakęś miłość nosił w sercu, której się pono pozbyć nie mógł. Ludzie powiadali, że się szalenie kochał w ubogiej dziewczynce, krewni mu odradzili małżeństwo, on też sam złąkł się niedostatku, gdy panna potem za męża wyszła a miłość zgasić się nie dała, Wojnarowicz cierpiał mocno i zapomnieć nie mogąc, losy swe przeklinał. Nadto był dobrym katolikiem, ażeby matkę dzieci kuśił rozwodem, a nieszczęśliwy był bez niej całe życie. Stąd owo jego napędzanie do ożenku.

Przytém jeszcze był impetyk i werydyk jak rzadko, księcia kochał bardzo, nawet mu życie uratował na polowaniu, gdy go o włos niedzwiedź nie rozszarpał, ale mimo największej czci i przyjaźni dla Radziwiłła rzadko rozmowa między niemi skończyła się bez kłótni. Wojnarowicz stał we dworku na miasteczku. Zabłocki pobiegł do niego i zastał gdy mu cyrulik głowę podgalał.

— Dzień dobry.

— A co tam?

— Księżę prosi, a pilno.

— No, juści nie pójdę nie skończywszy operacyi, a co to tam za sprawa?

— Nie wiem.

— Mów no mów, cyrulik wieć pewnie tyle co i my, sekretu dla niego niema.

— El to tam coś idzie o pannę Piskulską, rzekł Zabłocki, niewiem co się stało temu cyganowi Krzyskiemu, że pono do niej cholewki smali, księciu to nie wsmak. Posądził, że ja go ze smyczy spuścił, a jam na waćpana złożył, że chyba wy, bo ja się w swatanie nie wdaję.

Wojnarowicz tak się śmiać zaczął, że cyrulik brzytwę odjąć musiał aby mu ucha nie uciąć.

— Dobrys, rzekł, dobrys; jak bięda to na Wojnarowicza, aże, mosanie chociażem ja skory do kojarzenia małżeństw, co podobnych nie śni mi się. Panna Piskulska już dobrze zasuszona, Krzyski téż nie młody, para niedobrana i na lichu się to zdało.

— Księżę téż gniewa się.

— To się znowu nie ma czego gniewać. A no czekaj, niech się kosowica skończy, pójdziemy.

Spojrzał na cyrulika i dał sobie spokojnie łba dogolić. potem umywszy się, ubrawszy, poszli na zamek razem, księżę aż przez okno z niecierpliwości wyglądał. Wojnarowicz jakby naumyślnie powoli się ciągnął. W progu spotkali się z księ-



ciem, Wojnarowicz jakby na umyślnie wdział na się albeński mundur przyjacielski.

— Widzisz, widzisz, Wojnarowicz, szatan cię spokus czy co? pocałował księżę, po co ci zuowu swaty i jeszcze takie nie-sprzęgle? panie kochanku.

— Jakie swaty? co za swaty? powoli pocałował obwiniony, o Bożym świecie niewiem.

— A no, Krzyski się do panny Zoryny zaleca, panie kochanku.

— A mnie co do tego? spytał Wojnarowicz.

— Któż mu to poddmuchnął?

— Albo ja wiem...

— Dosyć, że między wami, panie kochanku, siekierka zginęła, westchnął księżę łamiąc ręce. Sam powiedz Wojnarowicz, jest w tem najmniejszy sens? panna wychowana do świata, a to bodaj czy nie cygan wypoliturowany.

Mości księżę, odparł Wojnarowicz sensu nie ma to pewna, ale nie zawsze szczęście bywa z sensem, i sens w szczęściu. A jeśli serce zagadało?

Chyba kieszeń, panie kochanku! rzekł księżę, to przechera jest ten Krzyski, ja go nie lubię, a pannę Zorynę szacuję.

— Za pozwoleniem, cóż się tedy stało? czy się oświadczył? spytał Wojnarowicz...

— Nie.

— Czy co spłatał?

— Ale nie.

— O cóż więc idzie? bo dalipan nie rozumiem, zawołał przybyły, księciu się bodaj co przyśniło.

— Cały wieczór w nią patrzył jak w tęczę, a u kolacyi stał za jój krzesłem.

Wojnarowicz splunął.

— Mości księżę, odezwał się, ja codzień na księżyc patrzę, kiedy tylko jest na niebie, a przecie nikt mnie nie posą-

Papiery po Glince.



dza, żebym się z nim chciał żenić. Zresztą, za pozwoleniem: a gdyby panna Piskulska tego samego chciała?

— Toby zwaryjowała chyba, panie kochanku, odparł książę.

— A gdyby zwaryjowała? przekomarzał się Wojnarowicz dalej.

— Panie kochanku, przerwał książę w pasyi, dajże mi pokój, bo będę zły.

Wojnarowicz wesa pokręcił, zimny i nieporuszony, bo dowiedziona rzeczą było, że gdy książę się sierdził on stygł umyślnie, i zawsze go tym sposobem do większej jeszcze pasyi doprowadzał.

— Mam honor w. książęcą mość, pana mojego miłościwego, pożegnać i łaskawej jego pamięci a protekcyi się polecić, rzekł z pokłonem po chwili.—Nie, bo tu taki w Nieświeżu dłużej mieszkac nie można. Byle co, zmaluje kto jakie lichy, na Wojnarowicza jak w dym, w końcu tego już nadto i znieść nie można. Na pochyłe drzewo kozy skaczą. Jadę, mości książę, a niech sobie Ciwunówna Piskulska—idzie nie idzie, choćby za kominiarza, to mi już wszystko jedno.

Książę popatrzał, ramionami ruszył i żal mu się zrobiło, obie ręce położył na ramionach Wojnarowiczowi i począł mu w oczy patrzeć.

— Stary! stary! dałbyś pokój! panie kochanku... dałbyś pokój. Wy wszyscy z tego nieszczęśliwego Radziwiłła żarty sobie stroicie.

— Chyba książę ze mnie...

— No, dosyć już, dosyć tego, ale sam powiedz, jak można, żeby ten obczyświat śmiał na Zorynę patrzeć.

— Mości książę, dalipan nie rozumiem, co to księcia tak bardzo obchodzić może. Dać by im pokój.

— Niemożna! niepozwalam! *Veto!* zawołał Radziwiłł.

Wojnarowicz zamilkł. W gabinecie wojewody różnych

rzeczy było mnóstwo rozłożonych po stolikach, między innemi różaniec leżał turecki z ogromnych ametystów w złoto oprawnych, o którym podanie było, iż go Sierotka przywiozł z ziemi świętej. Wojnarowicz który go sto razy widział, wziął w ręce i nagle począł mu się dziwować.

— Na takim różańcu to się dopiero modlić smaczno! rzekł.

— Ale co tobie znów do różańca? zawołał książę.

Wojnarowicz położył pacierze, ręce w tył skrzyżował i stał; oba milczeli.

— Co to dziś? panie kochanku? zapytał Radziwiłł.

— Czwartek... mości książę.

— Czyś waćpan wczora był z suchotami?

— Nie, rzekł Wojnarowicz.

— A no, dalipan myślałem, żeś chyba wygłodniał, bo się z tobą rozmówić nie można.

— Czemu nie, byle rozsądnie...

— A jakże ja mówię? panie kochanku, po chińsku, czy bez sensu?

— Nie wiem, tylko to, że ja do końca dojść nie mogę, rzekł Wojnarowicz. A wiesz książę, jak najlepiej to skończyć? dodał, nie wdawać się w nic i puścić rzeczy, żeby sobie szły swoim trybem.

Radziwiłł pomyślał i zamilkł.

Na obiad gdy zadzwoniono i wybębniono, bo na oboi sposób zwolowano do stołów książęcego, marszałkowskiego i innych (kilka ich było). Krzyski się stawiał przy książęcym stole, wyelegantowany jak na niedzielę, a śmierzdziało od niego gwoździakami, że przystąpić było trudno. Książę spojrzał nań tylko i siadł na swem miejscu — wszyscy go unikali.

Ale szlachcie był uparty i niezłomny.

Jakimś sposobem zostało opróżnione krzesło nieopodal od księcia, śmiało je zajął. Kapelan pobłogosławił, wszyscy siedli, eicho, jak mak siał. Książę nosem pociągnął i gwoździaki poczuł.

— Co wacpan, panie kochanku do wąsów używasz? spytał oczy wytrzeszczwszy na Krzyskiego.

— Mastyks z Tureyi jeszcze przywieziony, odezwał się niezmieszany szlachcie.

— Znać że turecki, bo pogańsko śmierdzi, rzekł książę, a to bym już smołę wołał.

Krzyski zrazu znikł.

— Ale bardzo zdrowy i od wszelkiej zarazy i jadu chroni, rzekł po chwili. Myśleliśmy, że się dalej posunie i ustąpi, przecież został w miejscu. Książę począł z Puzyną coś szeptać. U stołu siedziała téż jenerałowa Morawska, panna Zoryna i jeszcze kilka panien z fraucymeru. Uważaliśmy, że Ciwunówna była bardzo poważna, na Krzyskiego nie spojrzała, ale z twarzy jój gniew się nie wydawał żaden, tylko jakby smutek.

Różne były dyskursy przy stole, książę mało co mówił dopiero przy wetach niby do siebie przyszedł trochę. Puzyna go zaczął wypytywać o podróż, to był księcia ulubiony przedmiot, bo naówczas mógł sobie prawie co chciał i bujał.

— Gdy w Wenecyi był, panie kochanku, rzekł, chodzilem często na teatrum, i osobliwszą tam raz widziałem sztukę graną, której nigdy nie zapomnę, począł książę. Mówiono mi że była z cudzoziemskiego języka tłumaczoną, ale weneckiej się historii tyczyła. Przedstawiała panie kochanku, murzyna który się w białej paniencie zakochał, a co gorzej ożenił, i z niesłusznej zazdrości ją potem udusił.

To rzekłszy spojrzał na Krzyskiego powoli i na pannę Zorynę, która jagody jakies jadła i jakby nie słuchała. Bo to nie ma nic gorszego, dodał książę potem, jak gdy się nie dobierze stadło, z tego wszelkie w świecie nieszczęścia.

Milczenie nastąpiło długie, Krzyski tylko odchrząknął jakby chciał dać znać, że słyszy i rozumie.

— Czegożes to asindziej chrząknął? spytał Radziwiłł obracając się do niego.

— Pestka mi w gardle uwięzła... rzekł Krzyski.

Wstali wszyscy od stołu i rozeszli się po pokojach, koło nieboraka Krzyskiego obszerna zrobiła się luka, nikt doń przystąpić nie chciał. Szlachcie przegnąwszy się i pokłoniwszy, obejrzał w koło i pociągnął za paniami, wprost niby za panną Zoryną, książę spojrzał i zżymnął się.

Widać go to najwięcej niecierpliwiło, iż panna Piskulska całe Krzyskiemu złego oblicza nie okazywała. Była zimna, obojętna, ale jakby go spenetrować dobrze życzyła, dozwoliła mu przystąpić i zawiązać rozmowę.

Krzyski gębę miał wyprawną, gadać umiał i nastroić się potrafił, tylko nieszczęsna postać i twarz mu zawadzały, bo żeby usta otworzył latało w nim wszystko i śmieszny się stawał.

Rozmowy panny Zoryny z nim zdala tylko po ruchu było można odgadywać, opowiadał znać coś o podróży do Stambułu, gdzie onego wina i mastyksu dostał do wąsów, panna Ciwunówna słuchała go z uwagą, ale bez nicukontentowania.

Książę był nawiazał sobie jakieś dłuższe opowiadanie, ale tak mu zawadzał ten Krzyski, iż je przerwać musiał, i zżymnąwszy się rzecze do Puzyny. Ale na miłość Bożą, idźcież wy go odciągnijcie od Ciwunówny, bo mi dziewczyny żal... a toć ją tymi gwoździkami struje.

Wszyscyśmy poczęli miarkować, że nie co innego było tylko księciu z zazdrości dawna jego miłość dla panny Zoryny wróciła. Puzyna pobięgl, przysunął się, ale nadszedł na to gdy Ciwunówna bardzo jakoś łaskawie właśnie opowiadała Krzyskiemu coś z czytanej księgi. Nie łatwo było obcesowo ich tak rozłączyć i po chwili dopiero pod ramię wzięwszy Krzyskiego odprowadził precz. Dziwna rzecz, że owa harda panna, której by ani posądzić nie było można, żeby ją taki przybłęda potrafił zająć, weale nań patrzyła pobłażająco i nie odpychała. Zabłocki przyczaił się, schował i żałował, że się w to wdał, bo niespodzianę gotowały się kwasy.



Powarzeni byliśmy wszyscy, a ksiązę burczał i niecierpliwił się nie chcąc przyznać czém.

Nazajutrz Puzyna sądził, iż nie lepszego nie wymyśli nad to, by Krzyskiego wziąć na polowanie, a choć się rezydent wymawiał i wykręcał, naposiadł się na niego, prosił, męczył i pojechali. Ksiązę, został w domu. Zabłocki także.

Polowanie owo zdradzieckie tak było obrachowane, że co mieli tegoż wieczora powrócić do Nieświeża, nie pokazał się aż czwartego czy piątego. Zaraz tego dnia gdy Puzyna wziął utrapionego natręta z sobą, Zabłocki był mimowolnym świadkiem i słuchaczem sceny która go przekonała, że ksiązę w sercu afekt dla panny Piskulskiej zachował. Po obiedzie siedziała Ciwunówna z tamburkiem pod oknem w pokoiku, z którego drzwi szklane wychodziły na ogród. Zabłocki był na ławce dla świeżego powietrza, tak że go widać nie było, ale drzwi otwarte wszystko słyszeć z pokoju dozwalały. Ciwunówna z wielką attencyją szyła jedwabiami na atłasie. Ksiązę szedł niby przypadkowo przez gabinet i przystanął.

— Co to to pięknego panna Zoryna haftuje? spytał.

— Kobiocy gałganek—odpowiedziała.

— Ale śliczności, dalipan, panie kochanku, i jak wszystko co z tych ślicznych rączek wychodzi.

P. Zoryna rozśmiała się.—Zkądże się to w. ks. mości na ten duser zebrało?

Ksiązę zamilkł.—Czyby miał być, panie kochanku, nie do smaku i panna Ciwunówna wolałaby marcypan z gwoździ-kami od Krzyskiego?

— Dla czegoż od Krzyskiego?

— A no, panie kochanku—to ja wiem—szepnął ksiązę.

— A ja nie wiem—odparła panna Zoryna.

— Czy ten cygan się, panie kochanku, podobał?

— Ani podobał, ani nie—rzekła Ciwunówna głosem

statecznym—i cóż to zresztą w. ks. mość obchodzić może, kto się mnie podoba?

— Czemużby nie?

— Dla tego, zem księciu obcą, i...

— Ależ jam się na zabój w pannie Ciwunównie kochał... panie kochanku.

— To się tak księciu zdawało.

— Jak to, panie kochanku? zdawało? jakże to może być.

— Zdawało, dokończyła p. Piskulska, boć kto się kocha prawdziwie, odkochać się nie może—a księżę po tem miałeś i żonę i amatorów dosyć. Więc dla tego—mówiła ciągle Ciwunówna, żeś się w. ks. mość raczył w pokornej słudze niby to kochać przez trzy kwadranse, to już dla niej świat ma być zamknięty i nikomu na nią spojrzeć, ani jój sobie nikogo dobrać nie ma być wolno?

— Tylko nie Krzyskiego! zawołał księżę, na miły Bóg, tylko nie tego cygana.

— Zkądże ta antypatyja, m. księżę?

— Zkąd sympatyja? spytał Radziwiłł.

— Któż o niej księciu mówił?

— Moje własne oczy.

— To tylko dowodzi, że księżę już coraz więcej nie dowidzisz—roześmiała się panna Zoryna—a czego się nie dopatrzysz, to sobie dokończysz.

— Kiedy bo się z panną Ciwunówną dogadać niepodobna?—rzekł księżę. Chcesz iść panna za mąż? a toć się co lepszego znajdzie niż ta wędzonka z gwoździkiem.

Nastąpiło milczenie.

— Mój księżę—poczęła panna—do czego to ta cała rozmowa nasza, nie ma nic i nie nie będzie, a księżę siebie i mnie na śmieszność narażasz. To sobie zawarowawszy, mówiła panna dalej, proszę księcia, abyś mnie posłuchał z uwa-

gą. Dla rozumnej kobiety co w mężu potrzebne? Imię, jaka taka prezencja, a charakter taki, ażeby na kiel nie brał i żeby wstydlivych przywar nie miał.—Przecież Krzyskich familija stara i skoligowana, prezencyi człek nie ma, ale jěj nabierze łatwo, jak się go wytresuje; na kiel jabym mu wziąć nie dała, a co się tyczy przywar...

— Już to tak, panie kochanku, panna sobie ślicznie wszystko ułożyła—zawołał wojewoda — i no po francusku mówiąc, kto bez gospodarza liczy, dwa razy rachować musi. Krzyski ten, djabeł go wie jeszcze czy Krzyski, czy Kryski, czy Kryński, czy kto on taki... prezencja właśnie jak lalki w jasełkach, o kłach przekonania nie było, bo je może pochował... a przywar mu nie zbraknie, bo szelma łgarz zawołany, a wiadome przysłowie kto kłamie...

— Ależ go książę widzę, srodze sobie znenawidził. Za cóż? ozwała się panna.

Daléj nie posłyszał Zabłocki nic, tylko książę sapnął i weszła jenerałowa Morawska—zagadano o czem innem.

Wieczorem przy rozbieraniu był Zabłocki, książę ciągle markotno wyglądał, próżno go rozbawić usiłowano. Tylko gdy się wszyscy rozchodzili, prosił Strukezaszyca, ażeby został na chwilę. Gdy byli sami, kiwnął nań, aby do łóżka się zbliżył.

— Ty jesteś dobry człowiek i mój przyjaciel, rzekł książę—jam grzeszne stworzenie, często gęsto pana Boga obrażałem i obrażam, a no wierzaj mi, w gruncie zły nie jestem, Nikomu źle nie życzę... Tu się coś nie dobrego święci, panie kochanku—panna Ciwunówna gotowa tego trutnią w niedostatku innych akceptować... a ja czuję, że to będzie nieszczęście. Szkoda kobieciny, panie kochanku... Temu Krzyskiemu, jeśli idzie o co, to o chleba kawałek, a pewno nie o Ciwunównę, trzeba mu inną parę nastreczyć, pomóż ty mi, kogoby to? Zabłocki się aż cofnął.



— Toś nie dobry, panie kochanku—idź że sobie spać. Dobranoc.

Po powrocie z polowania Krzyski, którego wymęczył znać umyślnie Puzyna, dwa dni musiał odleżeć, smarował się, kąpał, a na nogę kulał. Kulejąc zaś pokazać się nie śmiał; panna Ciwunówna znać o wszystkim wiedziała, bo zaraz na-  
zajutrz Puzyny spytała co z nim zrobił i pogroziła mu na nosku. Puzyna o tem księciu doniósł, a książę był gniewny bardzo. Co jednak postanowił nie wiadomo, tylko uważano, że były narady z osobami różnemi. Trzeciego dnia gdy już wydobrzawszy Krzyski się na pokojach pokazał, dekoracja była zmieniona, książę przystąpił sam do niego i zapytał:

— Co to jegomości było, panie kochanku? dwa dniśmy go nie widzieli.

— M. książę, rzekł kłaniając się nisko Krzyski—polowaliśmy z kniazciem, nogęm sobie obraził.

— Wilczem sadłem trzeba było wysmarować—zawołał Radziwiłł... jak ręką odjął? Panie kochanku... I dłużej wypocząć na kwaterze... dodał, może tam asanu czego brak?

— Nic mi nie brak, oprócz względów w. ks. mości, na któreby rad zasłużyć—mruknął cygan...

Książę wása pokręcił.—Mój mości dobrodzieju, panie kochanku...

I odszedł.

Krzyski tego dnia płynął jak pączek w masle—książę łaskawie do niego zagadał, dwór cały jakby na wyprzódki starał się dlań być grzecznym, uprzedzającym, ale tak wszyscy koło niego tańcowali, że tchnąć nie mógł. Miał już tego dosyć i nadto, radby się był uwolnił, nie było podobna. Kroku nie zrobił, żeby ktoś za nim nie poszedł, odciągali go, zajmowali i trapiли, że do Ciwunówny słowa przemówić nie mógł, ani się przybliżyć. Wszystko szło jakby na komendę, a tak zręcznie, iż się biedak nawet poskarżyć nie mógł, owszem jeszcze dziękować musiał. Chmurny był, ale nada-

remnie; do nocy go tak w opiekę wzięwszy, aż na kwatere przeprowadzili i nie poszli, aż się do łóżka rozbierać począł.

Nazajutrz rano ledwie wstał, wszedł do niego Zabłocki. Tenby już rad był poprawić co popsuł, ale wielka to prawda, że stokroć łatwiej złe zrobić niż zrobionemu zaradzić.

W izdebce Krzyskiego było ciasno, siadł Strukczaszyca na sepecie.

— Sumienie mnie tu przyprowadza, odezwał się—bodaj czym wam kłopotu nie przysporzył, wprowadzając na tę myśl nieszczęśliwą o Ciwunównie. Okazuje się po bliższem rozpatrzeniu, iż z tego nic nie może być.

— Ha? spytał Krzyski—z czego?

— A no, z konkurów i małżeństwa.

— Dla czego? spytał szlachcic, panna mi się podobała—nie okazuje mi wstępu, dalej, dalej, przy świętej cierpliwości, nie razem Kraków zbudowany—jakoś to będzie.

— Nic będzie nic—za to wam ręczę, ozwał się Zabłocki—darmo czas straciecie—ale tu na pannach nie zbywa i posażnych, a dla waszeci miałem jak obszył wdówkę... powiadam wam.

— Wdówkę, skrzywił się Krzyski, no tak—chleb gotowy lecz nie zdrowy.

— Przesady...

— A ja powiem panu Strukczaszycowi, albo ta lub żadna.

— Kto? Ciwunówna?

— No tak...

— Zmilkuj się, to już niema ci co tać, książę się w nią kochał, została mu do niej pasyja... ona też...

— Tem lepiej, ojcze! tem lepiej! w to mi graj, zawołał porywając się Krzyski.

Zabłocki osłupiał.

— Ale książę nie dopuści!

Szlachcic ręce począł obracać dziwnym młyńcem jakimś... i śmiał się z pod wąsa.

— Proszę to mnie zostawić, to moja sprawa. Od czegoż głowa na karku; Pan Strukczaszye daleś mi błogosławioną myśl, za którą mu nieśmiertelnie wdzięczen będę i obowiązany po wiek wieków—reszta już do mnie należy.

— W. pan nie znasz księcia! rzekł Zabłocki.

— Uczę się, uczę, prawda, że nie znam, wielka prawda, ale człowiek przy dobrej woli wszystkiego się może wyuczyć... rzekł Krzyski. Książę bywa impetyczny a w gruncie serce złote...

— No tak, odparł Zabłocki, w impecie strzeli i zabije, a co ci z tego, że solenne nabożeństwo i nagrobek sprawi.

— Nic, panie Strukczaszye, do tego nie przyjdzie.

I począł go ścisnąć. Nieszczęśliwy Zabłocki, widząc go tak upartym, dał pokój. Wiem, bo mi to sam później nieraz opowiadał, a w części ja też własnymi oczyma patrzałem na to, iż mu się zdało jakby spokojnie idąc drogą nagle na sztuczną jakąś zasadzkę nastąpił... i alarm wywołał. Zabłockiemu ani się śniło, ażeby jego myśl, rzucona obojętnie, takich zawikłań miała być powodem. Nie wiedzieć co było począć—a szlachcica musiano się pozbyć, bo książę go zniełubił i humor mu się popsuł. W Nieświeżu zaś od tego humoru pańskiego zawisło wszystko; gdy książę wesół był, rosły każdemu rogi, dwór aż tętniał od wesela; gdy na pańskiej twarzy chmura wisiała, jakby wszystkich kirem obłókł.

Cierpiał więc każdy na tej komplikacyi i wszyscy na nią rady szukali. Książę już w owym czasie nie pierwszój, ba i nie drugiej był młodości, rozmaite dolegliwości czuć się mu już dawały, dokuczala pedogra, o której wszakże mówić nie było wolno, wzrok się mocno popsuł, choć go książę ani czytaniem ani pisanem nie nadużył, nogi czasem odmawiały posługi, a otyłość czyniła ociężałym. Mimo to wszystko, jak za młodych lat, kiedy się w księżnie Tarakanów, w ks. Kingston i w innych wielu a wielu kochał, tak i teraz przychodziły mu niewinne fantazyje i wspomnienie młodości. Zwyczajnie się one na tem kończyły, że uboga panienska, której sła-

wa przez to na żaden szwank wystawioną nie była, została wyposażoną, wydaną za męża, a nowy buziaczek wzdychania był przyczyną. Śmieli się z księcia krewni, żartowały siostry, napominał ks. Katembriak kapelan i spowiednik, ale to nie nie pomagało.

Wszystkie te panie i panienki, w których się książę jegomość choćby przez jeden wieczór kochał, zawsze potem w wielkich u niego były łaskach; nie trafiło się jednak, ażeby do której po długich latach, jak teraz do panny Zoryny Piskulskiej, powrócił. Prawda, iż to były amory młodości, owego szczęśliwego wieku co wszystko ozłaca, i że, jak ludzie opowiadali, daleko jakoś dłużej trwały i mocniej zbliżyły osoby, tak że familija lękać się zaczynała, ażeby książę wojewoda, zakochawszy się, mimo woli rodziny meزالijansu nie zrobił. A trzeba było znać Radziwiłłowskiego domu powagę, ażeby sobie wystawić, za jak straszną rzecz uważano ożenienie magnata z prostą szlachcianką.

Dom ten w istocie zarówno królewskim, za lepszy się miał od wielu książęcych, już to kolligacyjami z panującymi domami, już bogactwy ogromnemi wbijając się w pychę.

Z familij królewskich w Europie, naówczas trony obsiadających, nie było ani jednej, z któraby się jakąś nicią acz cieniuchną Radziwiłłowie nie łączyli, z wielu zaś nawet blisko spokrewnionemi byli. Pośród książąt Rzeszy mieli kolligatów mnóstwo, a pomniejszym królikom splendorem i fortuną nie tylko dorównywali, ale im imponować mogli. Takiego domu potomek żeby miał ubogą zaślubić szlachciankę, nie śniło się nawet nikomu. Tymczasem książę był na sercu znać nieszczęśliwym i pociechy szukał jako mógł, albo raczej ludził się chwilowo, że ją znalazł.

Gdy się to działo, bawiła właśnie i pani generałowa Morawska w Nieświeżu, a z nią jój dosyć liczny fraucymer, z pośród którego książę szczególniej dystyngnował, co się wszystkim pociesznem wielce wydawało, pannę Różę Sieniankę. Można powiedzieć, że to jeszcze było prawie



dziecko, nie wiem bowiem, czy miała lat szesnaście, a była mała, żywa, zwinna, śmieszek, dowcipna, dziewczyna zręczna i nad wiek wytresowana.

Wiadomo powszechnie, iż niektórym mężczyznom takie niedorostki, gdy je pan Bóg sprytem obdarzy, najlepiej podobać się umieją, osobliwie tcz starszym. Książę ją inaczej nie nazywał tylko różyczką, a cały dwór szalał za nią. Była to poprostu córka ekonomska, ale ojciec i matka, szczególnież ostatnia, baba kuta, umiała sobie radzić. Naprzód dziewczynkę do klasztoru dała do wizytek wileńskich, gdzie się najlepszych familij córki wychowywały. Tam ona i języka i manieri i tonu dobrego nabrała. Potem już tak wyedukowaną nastreczyła jenerałowej, a nie można było wątpić, iż córka pana ekonoma, ba i wątpliwa pono szlachcianka, los mogła zrobić świetny. Ona też radzić sobie umiała, a że twarzyczka była piękna, główka dobrze umebłowana, przebiegłość wielka, a serca pono mało—mogła dojść daleko. Jenerałowa, choć ją panna Róża bawiła, nie lubiła jęj. Wiele sobie bowiem niby jako dziecko i przez dzieciństwo pozwalała, a teraz z księciem dokazywała tak, że czasem włosy na głowie wstawały, tak była śmiała i zuchwała.

Czysty to był szatanik w motylem ciałku.

Przez tych parę dni, gdy Krzyski zaalarmował staraniem swem o pannę Zorynę księcia, biedna Różyczka zapomniana tak została, iż książę na nią ani zważał. I co dawniej nosił jęj cukierki, prezenciki, wymyślał zabawki, teraz i nie spojrzał. Dziewczyna, której znać o to bardzo szło, żeby z łaski nie wypaść i z pomocą księcia posazek zyskać a dobrą partyją, okrutnie była zmartwioną. Wszakże nie bardzo to dawała znać po sobie.—Gdy rzeczy doszły do tego, że książę pochmurniał już, a na Krzyskiego patrzeć prawie nie mógł, pannie Róży przyszła myśl jakaś dziwna, kto ją wie na co rachowała. Po obiedzie, jak była furkliwa, biegnąca, śmieszek i wszystko jęj uchodziło, coby żadnej

innéj nie było tolerowanem, przybiegła sama do stojącego na uboczu Krzyskiego.

Stanęła, dygnęła i patrzy mu w oczy, patrzy, szlachcic zaczął się czuć skonfundowanym. Poprawił pasa, pogładził czuprynę, zakręcił wąsa, spojrzął po sobie, czy się czem nie omazał.

Widząc, że ta stoi przed nim wciąż jak wryta i oczki przewraca, naostatek nie wytrzymał.

— Pozwoli panna Róża spytać, co we mnie dziś szczególnego upatrzyła, iżem od niéj na takie szczęście zasłużył?

Różyczka parsknęła trochę, zawinęła się, popatrzyła i kiwnęła na niego ręką, aby za nią szedł. Sala była wielka, napełniona po bokach dworem, w pośrodku prawie puśta, tak że wygodnie się niesłyszczanym można było rozmawiać. Róża go pociągnęła do środka, śmiejąc się, żartując, i poczęła z nim rozmowę. Nikt jéj nie słyszał, widzieli wszyscy, każdy ją sobie inaczej tłumaczył — szlachcic się zżymał, potniał, stał jak pod pręgierzem; dziewczyna podskakiwała, szeptała, pluskała w ręce, uchodziła, powracała i dowodziła coś i sprzeczała się, a po kwadransie téj komedyi puściła Krzyskiego jak po gorącej łaźni. Odszedł skonfundowany cały prosto w kąć i zaszył się.

Książę, który z Puzyną, generałem Fryczyńskim i kilku obcemi gośćmi rozmawiał, widział tę całą scenę. Znać było nawet, że go niecierpliwiła, zżymał się pokilkakroć, a gdy Różyczka odeszła do innych pań, w kilka minut i książę się za nią powłókł.

Ta już siedziała przy krośnach, jak gdyby nigdy nie zmalaowała.

— Panno Rózo! odezwał się książę.

— Co, książę pan każe? spytała podnosząc główkę z twarzyczką niby posępną i poważną a chłodną.

— Czy i waćpanna się w Krzyskim zakochała? pannie kochanku.



— Nie, mości książe, jeszcze nie—odezwała się dziewczeczka—ale wiedząc, że w. ks. mość chcesz się go pozbyć, myślę mu proponować, aby się ze mną ożenił, tobyśmy razem stąd precz poszli—i—dodała cicho—i księciu by nic nie przeszkadzało... admiirować muszki i róż panny Piskulskiej. To rzekłszy, głowę spuściła nagle na krośna i szyla dalej. Książe ręce w tył założywszy, wargę odstawił i stał ponury...

— A kiedy też już i komary mnie kąsać zaczynają—panie kochanku... szepnął jakby do siebie. Ta szyla bardzo pilno ze spuszczonej na krośna oczyma.

— A co pannie Róży do tego? zapytał po chwili.

— Wszystkim nam na sercu, żebyś książe był wesół i zdrów—zawołała nie podnosząc oczu—więc i ja pracuję dla dobra powszechnego, ratując księcia jegomości. Przecież by mi książe powinien być wdzięczny za to, że się poświęcam dla niego. Gotowam pójść za Krzyskiego.

— A to już epidemija jakaś! panie kochanku! śmiejąc się zawołał książe, którego to rozweseliło—ale wie panna, nie myślisz tego co mówisz.

— E! dla czegoż nie? dla czego? rezolutnie poczęła Różyczka—jestem uboga dziewczyna, książe mi tego męza wyposaży dobrze i wyłoci, to go sobie wezmę...

— Patrzajcież, panie kochanku, to nie pannie tylko o złocenie idzie, a zresztą nie patrzysz jaki mąż...

— Ale ba, mości książe, ja z niego potem zrobię co zechcę!... rozśmiała się dziewczyna.

— O! to prawda, mosanie, panie kochanku—zawołał książe—wy wszystkie, jak owa czarownica pogańska, umiecie nas przemienić w woły, osły i cieleta... Ale Różyczka jeszcze na to za młoda...

— E! ja jestem już stara, bom się napatrzyła wiele, odfurknęła dziewczynka. Bądźże książe pan spokojny o pannę Piskulską, ja Krzyskiego odbałamucę...

— Cóż mnie wacpanna panną Zoryną, panie kochanku, oczy wypiekasz, rzekł książę—ja jestem przecie jój opiekunem i bodaj czy jój do chrztu nie trzymałem?

— Wieleżes książę miał lat naówczas? śmiejąc się spytała Róża.

— A jak się wacpannie zdaje, ile ja ich teraz mam?

— Doprawdy ja się na tem nie znam, ale myślę żeś książę nie stary...

— Ja dwa razy, panno Różo—zawołał książę, wpadając w zwykły swój humor, dwa razy zostałem *de noviter repertis*, z gruntu odrodzony. Raz w Wenecyi alchemik w tyglu mnie odgotował, posolił i popieprzył, ale potem z wielkich kłopotów prędko postarzałem; więc po raz wtóry kazałem się Cagliostrowi w Warszawie odmłodzić eliksyrem i bardzo mi to pomogło... Gdyby nie to...

— Ale chrzestnej córce książę tego eliksyru nie dawał? szepnęła Różyczka...

Na to zapytanie pochmurniał książę.—Wacpanna jesteś złośliwa! — rzekł.

— Ja, jestem zazdrosna—odezwiała się Różyczka.

Wojewoda wesa pokręcił, popatrzał, pasa pociągnął, ale wtem go generałowa po ramieniu klapnęła i zakrzyczała grubym swym męzkim głosem—a proszę mi dziewczyny nie bałamucić... Wara od zielonych gruszek...

Na tem się skończyło, ale Róża, która sobie coś osnuła, zaczęła naprawdę wabić ku sobie Krzyskiego, który jak ów osiel Burydana między dwiema miarkami ówsa, nie wiedział którą począć.—Był wszakże ostrożny, żeglował środkiem, zawsze więcej okazując skłonności do panny Zoryny, która wcale nań miłościwie patrzyła.

Tak kilka dni upłynęło, a książę na Krzyskiego coraz się więcej zżymał, płatano mu figle—robiono przykrości, wytrwały człek nie dał się pożyć, odlatywały od niego te pociski, nie zaczepiając skóry. W tydzień jakoś, książę poufałych i wypróbowanych swych dworzan wieczorem obesłał,

aby się na podkurek do niego zebrali, dla narady o polowaniu. Ci co księcia lepiej znali, wiedzieli już dobrze z samego zakroju, że pewno nie o łowy szło. U drzwi postawiono dwóch hajduków, żeby nie przepuszczali tylko tych, których ksiązę chciał mieć u siebie tego wieczora. Na stole stało już wino, kieliszki, pierniki, tłuczenie i przekąski słodkie. Osób zaś wezwanych było z dziesięć, sami albeńczycy, stara gwardyja, która pod tym wodzem nie jedną kompaniją odbyła. Ksiązę chodził po pokoju zamyślony; na ostatku, gdy się wszyscy zebrali, powiódł okiem, splunął i począł:

— A co? źle z nami, panie kochanku, lada truteń już do Nieświeża wlezie i króluje sobie i hece nam pod nosem wyprawia. Tego nigdy nie bywało, panie kochanku! Wlazł tu przybłęda, mospanie, kto go wie skąd, ten sukcesor Noego, i panny sobie wybiera jak gruszki z sadu... jakby u nas pannom brakło kawalerów i taką drogą rzeczą był konkurent, panie kochanku. A pókić to tego będzie! A pfe! a wstyd, a hańba! Należy mu się nauka, panie kochanku... na tom tu ichmościów zebrał—co czynić. Wtem wyrwał się jenerał Fryczyński—Dałbym mu pałkami na bębnie i—wyswiecił go stąd...

Ksiązę głową potrząsł.—Żołnierska rada, ale nic po tem.

— Ej m. ksiązę, przerwał Puzyna... jużesmy nie jednego uchodzili staropolską sztuką, zażyćby jój na niego. Spoić go dobrze, zwadzi się, niech ino szabli dobędzie, zrobimy tak jakby którego z nas zabił, pod strachem popełnionego niby kryminału, czmychnie.

— Dobrzeby to było, rzekł ksiązę, ale czyż nie już na cały Nieśwież, panie kochanku, nikt nowego wymysleć nie potrafi?

Poczęli sobie tedy wszyscy głowy łamać, ten to, ten owo, a ksiązę głową trząsł—nic mu się nie podobało... Westchnął.

— Ej! mospanie, mój panie kochanku, kniaziu mój, rzekł zwracając się do Puzyny—kiepskie czasy! na umysleśmy

podupadli, za księcia miecznika o koncept dobry nie byłoby tak trudno... a teraz... lada Krzyski się z nas naigrawa... lada przybłęda po nas jeździ; a my trusie, panie kochanku... kołki sobie dajemy ciosać po głowie, żebym ja tu miał Wołodkowicza, Rejtana, a moich kilku dawnych przyjaciół, dalibyśmy mu zaraz radę...

Powiedział oczyma, wszyscy wymówką tą czuliśmy się dotknięci.

— Jeszcze, mospanie, panie kochanku, na koncept Radziwiłła stać, rzekł, ale kto do wykonania ręki przyłoży!

— My wszyscy! wszyscy! poczęto wołać do koła... jaki taki zaklinał się już na wszelkie świętości.

— Otóż posłuchajcie—zażyjemy trutnia, szepnął książę po cichu, ale naprzód *verbum nobile*, że się nikt nie wygada, nawet po pijanemu.

Podnieśliśmy ręce do góry; książę już usta otworzył i miał mówić począc, ale się raptem wstrzymał.

— Dziękuję kochanym moim panom a braciom za ich serce ku mnie i gotowość posiłkowania, aby dom Radziwiłłowski szwanku nie poniósł... ale stary rozum uczy, że w dziesięciu sekretu niéma.

Wydobył ogromną chustkę z kieszeni książę i węzłów trzy na niej zawiązał.

— Proszę się ustawić wedle tego jak serce dyktuje; mam trzy chusty, jest węzłów dwanaście... kto wyciągnie, należy do spisku i zostanie, panie kochanku, wtajemniczonym, a kto odejdzie, choć sekretu wiedzieć nie będzie, pomagać na zawezwanie ślepo i z posłuszeństwem obowiązany...

Na stole były dwie chusty białe—złożono końce; książę odwróciwszy się do pieca, trzy węzły zadzierzgnął i wyciągnął nam rękę, abyśmy z kolei losu probowali. Szedłem jak pamiętam z kolei trzecim i dostałem koniec

pusty bez węzła, zabierałem się więc odchodzić, gdy książkę dodał:

— Napij że się wina na drogę, aby się nam powiodło... i panie kochanku... idź spać.

Tak się stało, węzły wyciągnęli trzy: Zabłocki, Wojnarowicz i Korsak. Reszta submitując się, że choćby karku nastawić gotowa dla satysfakcyi księcia, rozeszła się po kwaterach; szedłem z Macewiczem, który, 'ak dziś pomnę, powiada mi:

— Dalipan za wiele honoru na takiego Krzyskiego! polują nań jak na grubego zwierza, a to chudy zając.

I tak szliśmy odpocząć.

Nazajutrz wielka nas ciekawość brała, co to się z tego wyświęci, ale nadaremno nastawialiśmy oczu i uszu—nie przyszło nic nowego. Tylko Wojnarowicza nie stało przy obiedzie. Książę pyta Puzyny głośno:

— A cóż to Wojnarowicz? czy nie chory? co mu jest?

— Nic, mości książę, — dostał nagle wezwanie do domu, ktoś mu tam zasłabł. Jeszcze w nocy pojechał.

— A kiedyż wróci?

— Nie mówił.

Krzyski jakby swój koniec przeczuwał. Korzystał ze swobody danéj mu i gorąco się brał do panny Zoryny,—ale teraz ani mu kto przeszkadzał, ani się kto o to troszczył—dali mu zupełnie pokój. Późno wieczór Macewicz mi powiada ze śmiechem:

Wiesz asan co—od wczora mało sobie szacując tego Krzyskiego zbłądziłem; to człek sprytniejszy niż się zdaje. Nim na niego zapolują, on pannę Zorynę pochwyci.'

— Albo co? spytam.

— Dziśiem ich rozmowę słyszał, oni to już znają się jak łyse konie...

— Kto?

— A Zoryna z nim.





— Gdzieżeś to asindziej podsłuchiwał?

— To moja rzecz, dość żem gotów powtórzyć co mych uszów doszło.

Opowiedział mi tedy co następuje, iż po obiedzie, gdy wszyscy poszli po ogrodzie i szpalerach, znalazł pannę Zorynę przechadzającą się samotnie w ulicy, do której jakby na *rendez-vous* umówione przydręptał Krzyski. Macewicz stał za grabem i nie odszedł, taka go ciekawość zdjęła, co oni z sobą rozmawiać będą. Krzyski tedy przyszedł bardzo pokorny, nieśmiały; a panna go przyjęła niezgorzdej. Coś bąknęli z początku, czego nie dosłyszał, potem panna Zoryna spytała go:

— Masz waćpan liczną familiją?

— Jestem tak nieszczęśliwy, że mi nie pozostało nikogo, rzekł Krzyski—w czasie ostatniego powietrza wszyscy mi wymarli.

— Masz waćpan jaki majątek?—Krzyski jakby się zakrztusił.

— Mam, ale się go doprocesować nie mogę.

— Gdzie?

— W Rusi... Łyknał i zamilkł.

— Czyś waćpan kiedy gospodarował?

Brała go na konfesaty widocznie.

— Czemuż nie! a jakże! zawołał Krzyski, szlachcic się rolnikiem rodzi... mamy to we krwi...

— Bywałeś waćpan na dworze?

Tu długa nastąpiła pauza.—Muszę się przyznać—odparł obżalowany, że oprócz dworu Sultana tureckiego innego nie znam.

Panna kiwnęła głową.

— Cóż tu waćpana sprowadziło?

Zadumał się Krzyski, rękę potem na sercu położył, westchnął i zawołał patetycznie.

— Przeczucie mych losów! Byłem całe życie bardzo nieszczęśliwy, wiodło mnie coś do Nieświeża w nadziei, iż tu

mnie za wieloliczne niepowodzenia czeka nagroda... że tu ujrzę nareszcie słońce...

Panna nie odpowiedziała nic...

— Kto dużo cierpiał, oswala się postępując dalej, tak że Macewicz zaciekawiony rozmową po za szpalerem od pnia do pnia przeskakiwać musiał, kto dużo cierpiał, wiele się powinien był nauczyć...

— Trudno to się chwalić—odparł Krzyski — ale mnie wolno spróbować...

Pannie Zorynie uśmiech pobiegł po ustach...

— Waćpan u księcia nie masz łaski?..

— Staram się o nie...

— Bądź waćpan uniżony, ale nie natrętny, i nie schlebiaj zbyt mocno... Dalej już nie słyszał co mówili Macewicz, ale z sobą poszli razem i długo jeszcze trwała rozmowa.

Mnie, przyznaję się do tego grzechu—choć człowiek był niemiły i niechwytny za serce, żał nieco było tego przybłądy, bom już miarkował z przygotowań, iż się mu coś dobrego musiało gotować. Kiedy książę nieświeżskiego figla komu spletał, nie lada on był, a nosił się z nim nie jeden życie całe.

Kilka dni nie było Wojnarowicza, naostatek powrócił. Tegoż samego dnia pod wieczór... pyta książę głośno w sali panią generałową:

— Znasz asindzko, panie kochanku, kasztelanową Zabrzezińską?

— Zabrzezińską? czekaj! ależ to rodzina wygasła! Żadnych już Zabrzezińskich niema! Chyba Brzezińską..

— Zabrzezińską — mówię! potwierdził książę seryjo, wdową po Hieronymie Zabrzezińskim.

— Po jakim?

— A to asindzka nic nie pamiętasz...

Spór się wzdał, kto znał jakiego Zabrzezińskiego, kto słyszał o jakim, i okazało się, że tylko Wojnarowicz, Za-

blocki, Korsak i książę wiedzieli coś o Zabrzezińskiej.

— To wstyd, panie kochanku, dodał wojewoda, żeby o tak znacznej familii losach nie wiedzieć i osób a kolligacyj nie znać. Dawniej u nas, panie kochanku, każdy, nawet młody chłopiec, wyrecytował z pamięci filijacyją każdej znaczniejszej rodziny w kraju, dziś wszystko zmarniało.. Notabene, panie kochanku, że pani Zabrzezińska—osoba jest niepospolita... *de domo* Turska, a rodzi się z Dulskiej hrabianki.. W młodym jeszcze wieku dla nadzwyczajnych bogactw i piękności, straciwszy rodziców, przez opiekunów oddana do klasztoru do Lwowa na wychowanie, przez jednego księcia Woronicckiego została wykradzioną i poślubioną. Wytoczono proces, odebrano mu żonę, ślub został uznany nieważnym i opiekunowie ją, panie kochanku, wydali za Opalińskiego... Z tym żyła półtora roku bezdzietnie, poczem owdowiała. Idąc tedy za głosem serca, panie kochanku—oddała rękę niejakiemu Hormajorowi baronowi, który w sześć miesięcy potem w pojedynku zginął, a dopiero po jego śmierci wyszła za Zabrzezińskiego i—owdowiała znowu...

Tym sposobem, nie licząc tego męża, panie kochanku, którego konsystorz nie uznał, miała trzech albo raczej półczwarta małżonka... i baba ciepła, panie kochanku, z fortuną wielką, bezdzietna, choć nie młoda, gotowa jeszcze wyjść za mąż.

— Zkądże to panu bratu przyszło mówić o téj Zabrzezińskiej?—spytała jenerałowa Morawska.

— Jużci nie bez przyczyny—odparł książę.—Piszą mi, że mając dobra pod Słuckiem, w których nigdy nie była... jadąc je zwiedzić, pewnie do Nieświeża wstąpi.

— Istotniebym ją ciekawa zobaczyć.—rzekła panu Morawska...

— Trochę głucha, dodał książę—i z tych ustawicznych smutków, a czworakiego wdowieństwa, melancholij dostawa; mało słyszę mówić... niewielka z niej pociecha.

Rozmowa się na tem skończyła—a że gość w Nieświeżu osobliwością żadną nie był, oznajmienie też o przybyciu kasztelanowej Zabrzezińskiej przeszło, nie czyniąc wrażenia.

Tylko gdyśmy od stołu wstali, Zabłocki śmiejąc się przystąpił do Krzyskiego i powiada mu—Ot! gratka!! jak wdówka przyjedzie, rzucaj asindziej Zorynę, a pal do téj w konkury.. to dopiero zrobisz interes nie lada.

Ramionami tylko ruszył Krzyski i usta wykręciwszy po swojemu, śmiać się począł—ależ bo też! rzekł po cichu—daj mi już asindziej pokój.

Dziwna się rzecz stała, że księżę teraz jakby się z tym Krzyskim pojednał, mówił z nim często, żartował, był bardzo łaskaw i jakby się dopiero w nim rozsmakował, cale się stał innym.—Krzyski, przypisując to swym przymiotom, w to mu graj, ciągle księcia ani puścił.—Gdy wojewoda dykteryjki opowiadał, ten forsował i pomagał, tak że we dwu grali niby duet, przesadzając się na niedorzecznosci; boki trzeba było zrywać ze śmiechu. Niekiedy tylko, gdy wśród tego wesela księciu oko błysło po radziwiłowskiu, coś w wejrzeniu było złowrogiego.

Upłynęło tak dni kilka, Krzyski nawet trochę się opuścił około panny Zoryny, tańczując przy księciu ciągle, który widocznie go chciał przyhołubić. I dokazał tego łatwo. Jednego dnia rano, w zamku widzę bardzo się wszystko poruszyło, księżę kazał podać kontusz z guzami koralowymi perłowy, który był od występów...

Dowiaduję się—na objad ma przybyć owa zapowiedziana kasztelanowa Zabrzezińska. Posłyszawszy historiją o czterech mężach, każdy ją był ciekaw widzieć, generałowej nie wyjmując. Około południa toczy się kareciśko stare od miasteczka, służby kilkoro, konie zdrożone, niepocześnie jakoś... księżę czekał w sieni, poszliśmy wszyscy dla reprezentacyi.—Patrząc wysiada kobieta staroświecką modą ubrana, dobrze niemłoda, twarz pomarszczona, figura przy-



garbiona, nie ładna, ale wyfiokowana śmiesznie, i różem i bielidłem. Przypatrzwszy się, znać było, iż niegdyś może była piękną, ale z tego mało co zostało.. Tylko w oczach sprytu wiele. Książę jęj rękę podał i na pokoje wprowadził generałowa się przywitała, kłaniała się, dygała, ale mówiła mało.. U stołu niewieleśmy też rozmowy słyszeli bo stół był długi a mówiła cicho. Dopiero powstawszy, kiedy ją posadzono w sali na honorowem miejscu, ten i ów się zbliżał, podsłuchując rozmowy, bo się też była jakoś ośmieliła i rozgadała.

Oczyrna też rzucała tu i ówdzie po twarzach, szczególniej męskich, jakby sobie do upodobania kogoś szukała. Ale się staręj babie nikt zalecać nie myślał... Z generałową mówiąc utyskiwała straszliwie, iż jęj bardzo przychodzi trudno zarządzać obszernemi włościami, że ją oficjaliszci okradają, że straty ma znaczne że majątności dzierżać nie kobiecęj głowy rzecz.

A wtem książę, który stał podle, ozwie się: Boć też, pani kasztelanowa, powinnaś pomyśleć sobie o towarzyszu, a przyjacielu, któryby ją, panie kochanku, w tem wyręczał.

Ta zaś rzecze głośno.

— Albo to łatwo, mości książę—znaleść sobie przyjaciela? Jeszcze póki się było młodą a gładką—co innego... a teraz...

Pokiwała głową—książę Wojnarowicza trącił łokciem.

— Nie żonaty jesteś—rzekł a coś pomyśleć by o tem! Wdówka jeszcze nie bardzo zwiędła... a majątek pański...

— Ja już do tych funkcyj kandydatem nie jestem... odparł się Wojnarowicz... nabrałem dość grochowych wianków.

Wieczór po strzelaniu do celu i różnych figlach, książę do siebie na miód zaprosił. Miód to był co go tam drożej ceniono niż najstarsze wino, istny nektar, rzadko się okazujący na stole. Książę go sam lubił i utrzymywał, że



zdrowszego napoju nie znaleźć. Prawda że był mocny a słodki, gęsty, wonny i szedł do gardła, jakby do własnego domu. Poczęło się plectenie banialuków okrutne, a żarty, a płasy, a śmiechy—aż się pułapy trzęsły... Krzyskiemu też Wojnarowicz dolewał dobrze, że go podochocił porządnie. Sądząc, że jest w wielkich łaskach u księcia, mój jegomość podlażył pod samo krzesło pańskie i zabawił go jak mógł. Szczególny miał dobór staroswieckich pieśni, o których u nas nikt nie słyszał, hulackich zamaszystych, a tych się chętnie od niego uczono. Jedną tylko zapamiętałem <sup>(1)</sup>).

Héj kielicha, kielicha,  
Bo mi w gardle zasycha!  
I na duszy mi smutno...  
I w sercu bałamutno...

Trzeba zalać robaka!  
Héj szklanicy, szklanicy,  
Bo mi mętno w żrenicy...  
I w sumieniu wąż wierci...  
I myślę już o śmierci.

Trzeba zalać robaka...  
Héj puhara! puhara!  
W oczach stoi mi mara,  
Świat do koła się kręci...  
Tracę resztę pamięci...

Trzeba zalać robaka...  
Héj wiadrami, wiadrami,  
A kto nie kiep—ten z nami!

(<sup>1</sup>) Pieśń z rękopismu XVIII w. p. 13. M.

Napijmy się do zdecha...  
 Tylaż nasza pociecha...

Trzeba zalać robaka...

Tę pieśń gdy zaintonował, jakoś, tak rażno szło, żeśmy ją dośpiewali, nie mogąc mu się oddziękować, iż nas jęj nauczył. Książę mruczał i wąsem kręcił i powiada do niego:

— Zuch z waszeci, panie kochanku, ja nie rozumiem, żeś się aści pan z talentami, do dziś dnia nie osiedlił gdzie, nie ożenił i nie zrobił fortuny!?

— Szczęścia nie było, m. książę! rzekł skromnie Krzyski.

— E! co to tam szczęścia! bałamuctwo—odparł książę, mów chyba asindziej, żeś odwagi nie miał. Albo i tu w Nieświeżu, tyle panien i wdów, różnych różności, panie kochanku, posażnych, majątnych—otbys się do której wziął.

— Żebyś mnie w. ks. mość chciał poswatać! — skłonił się Krzyski.

— No—chętnie, nie od tegom, asińdziej pewnie tego nie wiesz, że to ja króla portugalskiego z księżniczką hollenderską swatałem, a bejowi tunetańskiemu dałem za żonę cesarzównę perską.

— O tem nie wiedziałem...

— I gdyby nie jeden golibroda, co mi szyki pokrzyżował, byłbym wielki alijans do skutku doprowadził, królową hiszpańską wydając za syna króla angielskiego, ale mi austriacy przeszkodzili. Książę puścił się już w swoje opowiadania.

— Większych rzeczy dokazywałem, dodał, panie kochanku. Markiza del Pirogo, mającego lat 85 i sześć miesięcy, jak obszył, wyswatałem i ożeniłem z baronówną von Speck mającą lat nie pełna szesnaście. Cóż asińdziej powiesz, mieli sześcioro potomstwa. Markiz ze starego odmłodził tak, że mcnueta tańcował, a żona tak jakoś zestarzała

iz rychło się dorównali z sobą i było to najszcześniejsze małżeństwo na świecie.

— Żebyś téż w. ks. mość raczył i mnie równie szczęśliwie dobroczynną dłonią zaswatać... rzekł z ukłonem Krzyski.

— Czekaj tylko asindziej, wszystko to być może, tymczasem sobie, panie kochanku, napatrz a miej za regułę, że goły z ubogą, żnić się nie mogą. Szukaj kobiety statecznej, a majątniej,— na wiek zważać nie trzeba, na piękność nie patrzeć, bo gdy się oczy przyzwyczają, to i Venus, panie kochanku, będzie obojętna, a bez pieniędzy życie obmierźnie... Co się tyczy innych przymiotów, panie kochanku, dodał książę—to ci tylko powiem, że mężczyzna, który się kobiety boi, a przebiega w nich, szukając aniołów, nigdy szczęśliwy nie będzie. Żona — panie kochanku, bierze się jak glina, z której ręce męża powinny taką figurę wycisnąć jaką sobie kto życzy... panie kochanku...

— Zdrowe rady, w. ks. mości, zawołał ręce podnosząc Krzyski—prawdziwie godne wielkiego mędrca i filozofa... Książę nań popatrzył śmiejąc się.

— A wiesz asindziej, panie kochanku, że to co mówię, tom słyszał od prostego chłopca, tyłkom sobie dobrze zapamiętał.

Krzyski głową potrząsnął; nie odpowiedział już nic, ale na twarzy jego znać było, iż mu łaska książęca dodała odwagi i humoru. Książę téż w duchu lepszym był niżesmy go oddawna widywali, tak że wszyscyśmy z tego byli szczęśliwi... i wieczór przeszedł jak jedno oka mgnienie.

Następných dni dowiedzieliśmy się iż kasztelanowa Zabrzezińska, która zaraz odjeżdżać miała, na prośby księcia i z powodu niezdrówia, przystała jeszcze na dni kilka... Milcząca w początkach, następnie spoufaliwszy się nieco z otaczającymi rozmówniejszą się stała i z mężczyznami chętnie dłużej rozprawiała wesoło... Kobieta rozkrochinaliwszy się wydała się bardzo oryginalną, bo choć miała odebrać

wychowanie staranne, obejście się jój było bardzo proste i niewykwintne, obyczaje dziwne. Piérwszy raz w życiu zobaczyłem taką wielką panią, wprawdzie małym kieliszczkiem, pijącą wódkę przed objadem. Wino też nie było jój wstrętnem. Anegdotek wesołych słuchała chętnie, uśmiechając się, i opowiadała niektórym bardzo śmiało. Książę jój dopomagał. Nie wiem już którego dnia i z jakiego powodu, Krzyskiego, który stał słuchając z boku, książę sam kasztelanowój zaprezentował.

— Muszę też pani kasztelanowój dobrodziejce przedstawić ciekawego, panie kochanku, człowieka, którego mi tu szczególny traf do Nieświeża zesłał... Imci pan Krzyski z Rusi, szlachcic, podróżował wiele, był w Stambule, przywiózł do skarbcu nieświeżskiego butelkę wina własnej roboty patryjarchy Noego... Złożyliśmy ją w skarbcu jako klejnot drogi, panie kochanku. P. Krzyski człek światły i miły, bywalec, widział dużo i umieć wiele.. Gdyby pani kasztelanowa potrzebowała *amanuensa* lub plenipotentą...

Krzyski się kłaniał, i co odprostował, to znów do pięt nagiął, a ledwie odgiął, musiał jeszcze bić czołem. Nam zdala patrzącym wydawało się, jakby kto lalkę w jasełkach sznurkiem ciągał, bo Krzyski miał właśnie takie ruchy dziwne i gwałtowne; Kasztelanowa zaraz go zagadnęła i poczęła z nim rozmowę; książę się powoli wysunął i zostali tak w niewielkiem kółku, a szlachcic zagadnięty o Konstantynopol, o wschód, o sułtana, kłamał jak najęty. Kasztelanowa w ręce uderzała powtarzając—dziwo! dziwo! Znać było że ten peregrynant zachwycił ją powieściami swemi o wschodzie, bo go jójmość wstrzymała bardzo długo przy sobie.

Następnego dnia znowu, zaledwie Krzyski się ukazał, kasztelanowa go pozwalała do opowiadania nowych bajek, posadziła go nawet przy sobie i cale dystygnowała nad innych. Wszyscyśmy to jego szczęście postrzegli. Wieczór i dni następnych jeszcze się to coraz stawało wyraźniejszym.

Krzyski, nie można było po nim poznać, czy rad czy nie kontent, posłusznym był, ale konkury około panny Zoryny nie-co się przerwały... Jednakże mądry chłop umiał swoje interesa tak prowadzić, aby panny Piskulskiej nie zrażać. Wyrwał się zawsze do niej na chwilkę, poszeptali, a że bawić gościa dopomagał, tego mu i Ciwunówna za złe wziąć nie mogła... Książę się zdala przypatrywał... Któregoś dnia, widzę, wziął Krzyskiego za pętlę od guzika i poprowadził do okna, przy którym ja stałem.

— Mój Krzyski, panie kochanku—rzecze do niego, czyś ty ślepy czy niedołęga.

— Albo co, mości książę!

— Chyba oczów nie masz, jeśli nie widzisz, że kasztelanowa się w waszeci, panie kochanku, szalenie rozmiłowała.

Krzyski spojrzał, brwi mu wyszły aż na środek czoła i opadły, nos się skrzywił, ramiona jakby ze stawów wyjść chciały.

— Niechże książę nie żartuje.. odpowiedział.

— Ale to nie żarty! waćpana szczęście niespodziane spotykał panie kochanku. Bierz się w kupę do baby! Ja ją przez przyjaźń dla waszeci zatrzymam tu, smal dobrze cholewy, a gdy chwilę upatrzysz oświadczyć się, panie kochanku... Bo, przypuściwszy w najgorszym razie, gdybyś w ucho wziął od kobiety, coś ci to zaszkodzi, posmarujesz winem z rozmarynem i odejdziesz.. a jeśli ci się uda!! miarkuj... panie kochanku.

Krzyski stał zamysłony, ale drygnął cały, nie mogąc przyjść do słowa, i odpowiadał rękami zawczasu.

— Książę jakoś aż nadto łaskaw na służbę swego, rzekł pokornie — alem ja nie tak zakuty i nieostrożny jak się zdaje.. Wysokie progi na moje nogi.. a przytem mości książę, ja do wdów nie miałem nigdy nabożeństwa.

Wojewoda stojąc nad nim wása kręcił.

— Wiész co, Krzyski, rzekł, nigdym, panie kochan-



ku, nie myślał, żebyś ty był taki ciemnego! Cały dwór to widzi, ja przysięgnę że baba zaszłapała, a ty ślepym jesteś.

Krzyski głową kręcił—uśmieszek mu igrał po ustach dziwny, zdawało się jakby komedyją grał i z trudnością się mógł od śmiechu powstrzymać, to znowu przybierał minę poważną i mówił z wielkiem niby przekonaniem.

— Nie trzeba się spieszyć—odparł Krzyski.. a no, śmierć i żona, przeznaczona, jeśli *fatum* mi tę reliwiją wydzieiliło.. już ona nie minie.

Księżę wążem pokręcił—Jak sobie chcesz, panie kochanku...

Widząc i słysząc co się święciło, dworzanie też napadli na nieboraka, przesładując go wdową starą i animując aby targu dobijał. Krzyski stał jak oto dzik kiedy go ogary opadną, ufny w kły, niezłękniomy i pewien siebie. Odcinał się zręcznie, a gdy się wymknąć potrafił, uważaliśmy że popadł do Ciwunówny. Księżę to także widział i pokwaśniał.

— Ale to głupi człek, panie kochanku—zawolał—uczepił się! zapewne słodki kąsek ale nie dla waszeci.

— Daćby mu pokój, mości księżę, szepnął Wojnarowicz, niech idzie po swój woli, na wszystko się w końcu rada znajdzie.

Tydzień przeszło na takich różnych rzeczy obrotach przeminął, a z Krzyskim sobie rady dać nie było można. Zdało się nawet że do porozumienia zupełnego przyszedłszy z panną Ciwunówną, spokojnie się zachowywał i minę miał bardzo wesołą,—kasztelanowa mu w istocie niemal codziennie większą okazywała konsyderacją, codziennie opowiadać jej coś musiał o Stambule i sultanie—ale czynił to jak za pańszczyznę i nie wywzajemniał się wcale efektem biednej kobiecie. Uważaliśmy i to, że gdy jenerałowej Morawskiej i innych dam nie było, a rozmowa między nimi się wszczęła, Krzyski gdy się tylko obejrzał, że sami są mężczyźni,

kasztelanowej dziwolągi od rzeczy prawit i niekiedy bryznął tak czerns tłustem, żeśmy się aż lękali, przecież staruska śmiała się, przyjmując to za dobre...

Znów tedy książę atak przypuścił do Krzyskiego, żeby ze swego szczęścia korzystał. Wybrał do tego chwilę gdyśmy byli wszyscy na dole w sali obok sypialni książęcej, wyprowadziwszy tylko szlachcica na cztery oczy do swęj komnaty. Kazał mnie, Zabłockiemu i Wojnarowiczowi słuchać, jak się do niego weźmie. Myśleliśmy, ja przynajmniej, iż książę tem napędzaniem chce go na dudka wystrychnąć. Ale otóż jak rzecz poszła.

Krzyski jakby się spodziewał, iż zostanie zawczwany do sypialni, wszedł spokojny, czuba zacierając... książę siadł też przy drzwiach.

— No, mosanie, panie kochanku, mam mu służyć za swata? namysliłeś się? Kasztelanowa za waszecią przepada Co ty myślisz...

— Ja myślę, że mógłbym przepaść przez nią, rzekł Krzyski.

— Dla czego? jak? co? panie kochanku.

— To jest tajemnica—odparł szlachcic.

— Jaka? tajemnica? co? śni ci się! mów panie kochanku.

— Chyba mi wasza ks. mość dasz słowo, że... za złe mojego zwierzienia się nie weźmiesz.

— Ale mów, panie kochanku.

Ten chrząknął i stanął w pozycyi jak do tańca lub do uroczystej mowy.

— Mości książę rzekł — złe się dzieje, gdy na najdosłojniejsze domy w ojczyźnie zuchwałc szalbierstwo się targają... Tak jest, m. książę... Obawiam się, czyli księciu nie zagraża niebezpieczeństwo, czy nie osnuto tu czarnej intrygi, na jego kieszeń lub spokój.

— Gdzie? kto, panie kochanku—przerwał książę powstając nagle...



— Jam tu po Litwie, m. książę, dosyć się włóczył, rzek Krzyski, a były miejsca gdzieś i siadywał... ludzi różnych znałem wiele... Czy uwierzyłbyś w. ks. mość, że w Słucku po bogatym dosyć szewcu została wdowa Zabrzezińska, sławna z wielu awantur kobieta, która oto miała odwagę pod imieniem kasztelanowej tu przybyć, aby z księcia, mojego łaskawego pana a dobrodzieja, w niegodny sposób sobie zażartować... Szczęściem że...

Nie domówił więc, bo mu książę własną ręką usta zatknął i w największej pasyi zawołał:

— Milcz... trutniu, panie kochanku, milcz że nie...

Krzyski umilkł.. Wojewoda wypadł do nas zmieniony, błądy, trzęsący się, dał znak Wojnarowiczowi, aby z nim do sypialni szedł. Krzyski stał tu wypogodzony i całkiem spokojny, poprawując nieco poplątanych wąsów — natychmiast Wojnarowicz go złapał i poprowadził do kąta. Rozmowy już nie słyszeliśmy, tylko widać było, że się z sobą ujadali bardzo, choć bez zwady. Jeden przyskakiwał do drugiego i odstępował, machali rękami, nasuwali się, sprzecali. Krzyski wymijał się, łamał po swojemu jakby sztuki pokazywał. W ostatku przyszło do jakiegoś porozumienia i Wojnarowicz mu coś w ucho poszeptał, na co się tamten zgodził i rozeszli się spokojniuteńko. Szlachcic sypialnię opuszczając a mijając księcia, pokłonił mu się nisko i wciżbie zniknął.

Mnie ta pierwsza rozmowa i ta wdowa po szewcu klin zabiła w głowę, schwyciłem Wojnarowicza wpół, do kąta — Gadaj! co to jest! wszystko słyszałem.

— Cóż ja ci powiem, chyba że to dola nieszczęśliwa tego Noego sukcesora nam przyniosła tutaj. Powinieneś się domyslić... książę mu chciał figla spłatać, a ten szatan zwąchał witerunek... Umyślnie tu ze Słucka sprowadzono tę wdowę Zabrzezińską... nie może być, żebyś o niej nie słyszał... Jest to szlachcianka (inaczéjby u stołu księcia nie siedziała), która wyszła za szlachcica zubożałego, co butami handlował na Rusi. Baba była niegdy szalona i co mieli gro-

sza straciła... chcieliśmy z nią Krzyskiego ożenić... nie udało się....

Wojnarowicz był zdesperowany, co oni to trzój pomocnicy księcia ten piękny figiel tak niezręcznie osnuli... i co mieli wziąć Krzyskiego, ten ich złapał.

Nie widziałem nigdy jeszcze księcia tak smutnego i zgryzionego... biegał tylko i szeptał wszystkim kogo spotkał: pilnujcie mi Krzyskiego, żeby nie drapnął, bo Nieśwież oniesławi... na miłego Boga, choćby go do trunny przyszło zamknąć a nie puścić. Szlachcica nie było co pilnować, bo ani myślał uciekać, a miał tyle rozsądku, że o swem odkryciu nikomu ani pisał. Owszem dla niepoznaki poszedł do owęj słomianej kasztelanowej i bawił ją przez dobre pół godziny. Potem się zakręcił jeszcze... Ciwunównie zaniósł dobranoc i z nami wszystkimi wyszedł razem, dążąc do swojego dworku. Tu mu już podobno książę wcześniej stróżów kazał posłać—tak się lekką, aby nie uciekł i całej historyi nie rozgłosił.

Figlaby się był Radziwiłł cale nie sromął, ale że go filut tu złapał i wziąć mu się nie dał, był niepokieszony. Powiadali mi później, że z Puzyną siedział do północy, wzdychając i narzekając na niedołęstwo przyjaciół swych, na dolę, która go prześladowała, że mu się nigdy nic nie udawało i że dom Radziwiłłowski upada. Trzeba było oczywiście szlachcica, który zwąchał zdradę, załagodzić: przywiązać, posmarować czemś... najłatwiejszą rzeczą było go z Ciwunówną ożenić, a tego właśnie wojewoda sobie nie życzył. Nazajtrrz rano nim jeszcze się na zamku ruszać poczęto — kasztelanowa zniknęła... Powiedziano, że pozdrowiawszy do dóbr swych odjechała... kilka osób tylko świadomych było przygody, tajemnica więc utrzymać się mogła... Krzyski swoim zwyczajem przyszedł przed objadem, zdaleka sobie stanął, skłonił się skromnie i jakby pewien swego naprzód się nie wyrывał.

Książę mijając go, głową mu tylko kiwnął, odpowiadając na niski pokłon, a szlachcic miejsce u stołu zajął niby przypadkowo niższe i dalsze niż zwykle. Zniknięcie kasztelanowej,

różne wieści chodzące o tem po dworze, mogły dać powód do rozmowy publicznej przy stole, czego znać książę chcąc uniknąć, rozpoczął zaraz sam bałamutne opowiadania jakieś i nikomu o rzeczach zwyczajnych do słowa przyjsć nie dał. Gdy to ten, to ów zagadnęli z inną beczki, bardzo umiejętnie narzucał swój przedmiot i tak szczęśliwie doszliśmy aż do wetów, a wprędce też powstali.

Nigdy jeszcze Krzyskiego tak skromnym i cichym a razem tak uspokojonym nie widział. Spozierałem nań z ciekawością wielką i przekonałem się, że był człowiek wytrawny, który sobie radzić umiał. Przychodziło mi nawet na myśl, iż go już pewnie zagodzić musiano, alem się mylił, bo od wczorajszego dnia nic nie zaszło nowego. Panna Ciwunówna była też przy stole i w bardzo wesołym humorze, nie patrzała niby na swojego adoratora ale go widziała dobrze i czuć było, iż między tem państwem panuje jak najlepsze porozumienie. Przyszło mi się do grzesznej ciekawości, iż gdy zobaczył ich idących do drugiej sali, stanąłem tak, bym rozmowy podsłuchać mógł. Nie będę się tał ani tłumaczył się, iż to w interesie księcia czynię, bom folgował też własnej mej słabości. Szepotali zrazu po cichu z sobą coś, że dosłyszeć nie było podobna; potem Krzyski rzekł:

— Nie kłamie.

— Ale mi asandziej prawdy nie mówisz całej, odezwała się Ciwunówna do niego — ja zaś należę do tych osób co i niewielkiem zadowolić się umieją, ale fałszu nie cierpię. Mówże mi waćpan całą prawdę o sobie, bo ją wiedzieć powinna.

— Proszę pytać — daję słowo szlacheckie, że nie skłamię — rzekł Krzyski.

— Gdzieś się waćpan rodził i czy to prawda, że z tamtych Krzyskich pochodzisz... jak mówileś księciu?

Szlachcie milczał.

— Żem Krzyski, toć mętrykę składam, i żem urodzony w niej stoi... przecie nieszlachectwa mi nikt zadać nie może... a żem we Lwowie w bursy pauprem był, toć nie krzywdą...



— Familią waćpan masz?

— Wymarła.

— Wszyscy?

Krzyski milczał.

— Mów że mi pan prawdę.

— Tak jak wszyscy... jedna mi tam siostra została, która nie zawadzi nikomu... alem się ja jój wyrzekł, bo za mieszcucha Tyczaka poszła.

— A pfe! zawołała Ciwunówna.

— Trudnoż było na pasku trzymać... westchnął Krzyski, ja do niej a ona téż do mnie się nie przyznaje... mąż kupiec znaczny i człek majątny, ormijanin...

— Więcój kogo waćpan masz?

— Żywěj duszy...

— Gdzieżeś się waćpan do téj pory obracał? spytała Ciwunówna.

— A! po całym świecie! — z różnych się pieców chleb jadło. Prawdę rzekłszy począłem od seminaryjum, ale pobywszy lat dwa poczułem, że do stanu duchownego żadnej skłonności nie mam... Musiałem się wywlec... Służyłem i w wojsku, jakoś mi i tu nie szło... Gospodarstwa téż sprobowałem, grad i posucha się na mnie uwzięły, wyszedłem z torbami. Byłem dworzaninem u księcia wojewody, z którym aż do Stambułu dojechałem... i tamem biędzy napytałem...

Począł biédaczysko wzdychać.

— Panno Ciwunówno dobrodziejko, odezwał się pokornie, — jak pana Boga kocham, gorzěj się ja wydaję niż jestem. Człowiek nie zły, tylko mnie smutne nader wypadki przywiodły do tego, żem ludźmi pogardziwszy, postanowił z nich skórę drzeć, jak oni moje poszarпали. Doszedłem do tego na świecie, iż pochlebstwy a sztuką więcój zyskać można niż prawdą a cnotą; i chociem z drogi prawěj nie zboczył, anim szalbierstwa popełnił.. ale, ale...

— Ale co! spytała Ciwunówna...

— Jak mi dla ludzi miłości zabrakło... przestawszy ich żałować, korzystałem z nich jak się dało...

Panna spojrzała nań dziwnie pytająco, a dumnie.

— Mów waćpan wyraźniej...

— A no, włóczyło się po dworach, wysługując różnie... Bałamuctwem człek więcej zarobił pono, niżby mógł pracą twarzą.—Przecież, dodał, gdyby mi lepsza zaświeciła gwiazda, do innychby się téż sentymentów wróciło...

— Cóż za to ręczy?

— Najlepiej bięda, rzekł Krzyski.

— Na chwilę,—a gdy szpary odejdą? Tu przerwała nieco i jakby ośmielając się dodała żywo.—Spowiedź za spowiedź, jam téż coś może panu winna... Mnie los nie szczędził choć na pozór wygadzał. Ludzie mnie zawsze za szczęśliwą mieć mogli, a jam ją nigdy nie była. Waćpan obiecał poprawę, ja się pewnie nie zmienię; duszę mam hardą, ale serce co się w dobry sposób ująć da... przemocą nigdy. Kobiętą jestem a uledek nie potrafię. Tyranką nie będę, a służą być nie chcę. Jeśli waćpan myślisz, żem w nim zakochana to się przejrzyj w zwierciadle... Trzeba mi jednak za męża wyjść, a nie wiecznie w cudzym domu być na łasce. Mogłabym zamieszkać u brata... ale chcę własny mieć dom i gospodarstwo... Wybićram waćpana, wiesz dla czego? że biędy doznawszy, myślę, iż lepszy los szanować będziesz umiał, a téj, co ci rękę poda, nie wypłacisz niewdzięcznością... Cóż waćpan na to?

— Ale ja się godzę na wszystko! rzekł kłaniając się Krzyski...

— Z księciem jegomością ja pomówię sama, dodała Ciwunówna rękę doń wyciągając, którą ten złamawszy się we dwoje, ucałował.—Bądź waćpan spokojny...

Z tém się rozeszli... Księżę mocno pochmurniał dui następnych i opowiadał różne historyje dziwne przy stole. Szczególniej nas to zastanowiło, iż tę którą powtórzę, z uśmiechem publicznie rozpowiadając, ciągle na Ciwunównę spoglądał.

— Już to waćpanom, panie kochanku wiadomo, że gdym płynąc z Hiszpanii rozbił się ze statkiem, około brzegów afrykańskich, korsarze nas wygłodniałych połapali niewodem ogromnym i wzięli w niewolę. Tu mi to bardzo było na rękę, żem u pani Gałęckiej służył dawniej za kuchcika, panie kochanku, bo mnie uczyniono kucharzem w serajm Beja, i przynajmniej głodu nie było... Tam, panie kochanku, rosną wielkie orzechy iż my z panem Wołodkowiczem, który też był w niewoli ogrodnikiem, wyjadłszy ziarno, zrobiliśmy sobie czółno z łupiny i puściliśmy się na morze... Szczęściem wiatr dał taki pomyslny, iż nas zapędził od razu na wyspę Sylwija zwaną, u włoskich brzegów... Wysłałem Wołodkowicza do księcia panującego oznajmując mu kto byłem, panie kochanku, i skąd przybywałem. Wołodkowicz wraca i powiada mi, że księżę panujący nie żyje a po nim odziedziczyła tron księżniczka Orola, która właśnie szuka sobie małżonka... Przyznaję się, iż myślałem zaraz, że mógłbym stanąć w liczbie kandydatów, panie kochanku... W miasteczku nad brzegiem znalazłem krawca, który terminował w Nieświeżu u Lejzora, ten mi garderobę kredytował... paradną, panie kochanku. Udaliśmy się tedy z Wołodkowiczem na dwór księżniczki Orolii.... Jeszczem w życiu tak pięknej kobiety nie widział... rozkochałem się szalenie... licha panie kochanku nadało.... Przyjęli nas z wielkimi honorami; pokoje w pałacu, bale, asamble, teatr, muzyka, wino doskonałe, ale księżniczka jak z lodu. Małom nie oszalał od wielkiej miłości.... Wydawała to, panie kochanku, twarz moja, nie mogło inaczej być. Aż jednego razu gdym pisał wiérscze, nadchodzi wielki ochmistrz, panie kochanku, który mi był bardzo oddanym... i powiada... Co w. ks. mość, zdrowie sobie nadwierzasz tą szaloną miłością, wszystko to darmo... Księżniczka ma kochanka, już go sobie wybrała, ja go jutro pokażę. Wielka mi nie tedy ciekawość zdjęła zobaczyć tego szczęśliwca, panie kochanku.—A wiecie kto to był?—kulawy i ślepy na jedno oko drążnik. Taki to panie kochanku, są te kobiety, żenigdy nie zgadniesz, gdzie je fantazyja zaprowadzi...

Daremne jednak były wszystkie te dykteryjki... w parę dni potem gruchnęło po całym dworze iż pan Krzyski, oświadczył się pannie Ciwunównie, że został przyjęty i że mieć będziemy wesele znowu tak paradne, jak niegdyś panien Wyhowskich.

Jeszcze mi tu raz przychodzi powtórzyć, iż kto Nieświeża nie znał, a Radziwiłłowskich przepychów nie widział, ten też nie domyśli się nigdy, by u obywatela Rzeczypospolitej, choćby i książęcym tytułem ozdobionego, mogły się wesela rezydentów z taką wspaniałością odbywać.

Że oboje państwo młodzi rodziców nie mieli, służyła pannie Ciwunównie za matkę generałowa Morawska, za ojca panu młodemu książę Karol, który usilnie okazać chciał, że już i żal i miłości nie miał. Za sumę dziesięciu tysięcy czerwonych złotych, które panna Zoryna miała u księcia jak się okazało, wraz z pensją jaką pobierała, dano zastawą ze Słuczczyny dobra znaczne, mogące przy gospodarstwie z półtora tysiąca dukatów uczynić dochodn. Dworca oprócz ekonomskiego folwarku w Tyszowie tym nie było. Ale książę Karol potajemnie wydał rozkaz, ażeby we cztery tygodnie stanął. Drzewo wydano z lasów książęcych, cieśłów spędzono, i na pagórku nad Tyszówką rzeczka wzniósł się dwór okazały o dziesięciu pokojach, z salą ogromną, wykończony, przybrany, umeblowany na inkrotoiny. I nic w nim nie zbrakło, ani w spiżarni, ani w piwnicy, ani do wygody państwa. A umiano tak tajemnicę dochować, mówiąc tylko ciągle o restaurowaniu folwarku, iż się państwo młodzi nie dowiedzieli o swoim szczęściu, aż gdy na miejsce wraz z gośćmi przybyli.

Wesele starodawnym obrzędem odbyło się ze wszystkimi przynależnymi ceremonijami; książę jednak na nie zjechać nie chciał, pod pozorem choroby, w istocie iż mu pono onój pięknej Zoryny, albo już tylko pięknego wspomnienia jój żal było.

W czasie wesela i kilka dni potem chodził smutny, chmurny, nasępiiony, wzdychający, opowiadając różne dykteryjki

o niestałości kobiet i serca niewinnego zdradach. Niemal każdego z nas zapytywał po kilka razy.

— A powiedzże ty mnie panie kochanku, jak ona mogła wybrać tego wędzonego piskorza? Nigdy ja nie posądzał żeby tak była bez smaku...

Każdy mu odpowiadał jak umiał, starano się go rozbawić — nie szło — tęsknił jakoś. Brakło mu téj twarzy u stołu, brakło cichój rozmowy. Ja myślę, że tego najwięcej przypomnienia lepszych czasów, które tem droższem jest, im człowiek dalej w lata zachodzi.

Rozbawiała go i Różynka — a mało co uczynić mogła; patrzył na nią jak w tęczę, słuchał ponury, aż się uśmiechnął, potem ją pod brodę pogładził.

— Wszystkieście wy takie, daj ty mi szatanie pokój....

Jednego ranka, byłem jeszcze w stajni, słyszę rozmowę w podwórzu — wołanie, bieganie, anim mógł się domyśleć, co takiego... Pytam — powiadają, księżę chce folwarki objeżdżać, konie żeby były natychmiast gotowe.

Jużto w Nieświeżu żeby księżę o północy kazał sześciu cugom w jeden kwadrans wystąpić, i tegoby dowodzili nastawierze, bo miał przednich; w pogotowiu jeden, dwa stały z kołci ubrane, powozy posmarowane, ludzie odziani, tylko się zmieniali. Więc gdy księżę pan rozkazał, duchem było gotowe. Słyszę, już i mnie nawołują, żebym z księciem jechał. Lubił mnie tak czasami, gdy mu na fantazyję przyszło. Anim widział: dokąd, poco, na jak długo; ledwie się odziać czas miał i konia sobie kazać podać, gdy już księżę wojewoda w ganku stał chustką machając — konie dawać.

Spojrzałem nań; mieliśmy po folwarkach jeździć, ale księżę wdział strój jak od wizyty, czego znów dla ekonomów nie czynił — tknęło mnie. Wyjeżdżamy z miasteczka za groblę, — pyta się koniuszy — dokąd? — Do Tyszowa... Zmiarkowałem, że za panią Zoryną zatęsknił. A było zwyczajem to powszechnym, iż gdy księżę dokąd przybyć miał, zawsze choćby sekretnie wprzód oznajmowano, aby nie do rzeczy nie zastał i żeby się



też szlachcie czas miał przygotować. Tu zaś za późno było i ani już sposobu, bo dwór musiał porządku pilnować i nikomu się ukradkiem oddać nie było wolno.—No—rzeknę ja sobie—przysłuży mu się odwiedzinami, gdy go znienacka w dezabilku zastanie, a jejność może przy kurach. Bo choć Zoryna się wychowała w pańskich pałacach i w nich życie spędziła, przecież każdy to wie, że gdy się kobieta na własne gospodarstwo dostanie, bawi się niem azrazu przynajmniej bierze do serca.—Kawał drogi był dobry, czas gorący, stawaliśmy razy dwa odpoczywać; naostatku ów dwór się nowy ukazał, ale koło niego jakby wymarło wszystko, ani żywej duszy. Książę wyrżał raz, drugi, furmani z batów pałą a pałą! żeby też kto choć zobaczyć wyszedł. Zabawia rzecz...

Zajeżdżamy, księcia dworzanie dobywają z kolébki, nikt się na powitanie nie stawia. Dopiero gdy się się otworzyła, wychodzi jejność sama z tacką w ręku, chlebem i solą, jakby już wiedziała kogo ma witac.

Ubrana była po wiejsku, ale bardzo do twarzy i pięknie: suknia biała, czépeczek biały, wstęgi ubramowania jasowe, więcej nic, i jakby odmałodziła. Nie dałbyś jej nad lat trzydzieści, tak jej wiejskie posłużyło powietrze. Skłoniła się niemal do kolan księciu i rzecze:

— W. ks. mość tu gospodarzem i panem, a no choć słudze jego niech go wolno będzie obyczajem starym w nowym progu chlebem i solą powitać.

Książę coś mruknął i w rękę ją pocałował, ale jakoś smutno wyglądał; nie wierzyłbym, gdybym nie widział, że mu się aż łza w oczach kręciła. Obejrzał się jakby jeszcze gospodarza szukał, lżej mu się stało gdy go nie zobaczył. Już i nie pytał, ta też nie przeproszała, że go niema. Weszliśmy wszyscy do sali... W domu było nie bogato, nie wystawnie, ale nader czysto i pięknie i miło... Gospodyni spytała, czy książę jadł i czy się posilić nie zechce; myśmy wszyscy byli jak psi głodni... więc i książę nie nierzekł. Zakręciła się zaraz i wyszła...

— A to mospanie, panie kochanku, rzekł książę, bardzo mi się udało, żem choć tego cygana nie zastał.

Tylko co rzekł, otwierają się drzwi, wpada w białym kitlu, słomiany kapelusz w rękę, czarne juchtowe buty na nogach, gospodarz i plackiem księciu do nóg — aż odskoczył. Wszyscyśmy nań oczy obrócili; dalipan, ani Owidyjusz metamorfozyby osobliwszój nie ziuwentował. Bo to ta śmieszna poczwara, kuglarz ów, cygan, wyglądał teraz na tak statecznego człeka, że go było nie poznać. Żona znać wymustrowała, iż nawet tego zbytniego rzucania się, łamania i mrygów zapomniiał. Twarz mu się wypełniła, oko wyszło z pod brwi, które głęboko wprzód siedziało; rumieńca dostał, czarności szpetnej pozbył. Co to szczęście z człowieka zrobić umi... Książę był pomieszany, a ten już zerwawszy się z nóg, oracyją pali *ex abrupto*, jak nie można lepiej. Osłupieliśmy....

Dopieroż księcia sadzać, a gościć, a za kolana ujmować... aż już wszystkim tego było dosyć. Powróciła i gospodyni, przyniesiono przekąski doskonałe. Wędliny szczególnie, na tak młodem gospodarstwie do podziwienia były. Książę się udo-bruchał, nuż dwór obchodzić..

Poprowadzili go oboje, my tylko za niemi poglądaliśmy zdala, bo nas tam za dużo było, żeby z procesyją chodzić... Tylko co wrócił książę, otworzyły się drzwi, jakby magiczną sztuką—do stołu podali; a było nas osób pewnie dwadzieścia do pierwszego stołu, przy drugim téż sporo, a ci nie zostali głodni. Obiad niewytworny, nasz szlachecki, ale smaczny, że palce oblizywać. Mięso tłuste, sosy mocne, pieprzno, słono, korzenno, przytem miód i wino wyborne. Trzeba się było zdumić. Gospodyni siadła podle księcia, a Szafraniec ten przebrawszy się w parady strój, przy szabli sam służył i ani miejsca nie zajął. No i inny się stał człowiek, tak go znać wytresowano; układny, stateczny, uprzejmy, nieponiżający się... O samój niema co mówić, niewiasta była wielkiego animuszu i *hic mulier*.

Przecie jak to wilka natura do lasu ciągnie, mój Krzyski nie wytrzymał, żeby coś na starą fozę niezmałował. Książę chwalił bardzo tak piękny ład i gospodarstwo, cieszył się, że to tak ręką młodemu małżeństwu poszło; aż Krzyski wzdycha — ale wzdycha tak, jakby mu kamień młyński padł na piersi.

Książę się odwrócił—A co ci to?

— Nic, mości książę, odpowie, wszystko z łaski jego jak najlepiej; ale na świecie pono doskonałego niema nic, tak też i tu w Tyszowie.

Widzimy, że żona mruga nań, aby pokój dał, a ten swoje i wzdycha znowu.

Książę tedy ponawia pytanie.—A cóż do Tyszowa braknie?..

— Jeszczem to ja się proszę księcia tak dalece w folwarku nie rozpatrzył, ale jeden defekt ma bardzo widoczny... granica strasznie niewygodna. Kury jak wynijdą za bramę, już cudzy grunt... a co gęsi ani wypędzić nie można... miedza tuż za stajniami.

— A czyjaż to wina?

— Czyjażby jeśli nie księcia jegomości.

Książę zamilkł.

— Któryżto tam folwark? szepnął do jejności.

— To ta Wulka Zagrzebska — odpowiedziała rumieniąc się.

— A ileżto tam chat? — rzekł książę.

Krzyski prędko rzecze—pewnie i trzydziestu niema...

Na tem się skończyło, wstaliśmy od stołu z kielichami, a częstowano późno w noc nie żałując. Książę zapragnął, aby pani Zoryna zaśpiewała, co też uczyniła głosem jeszcze dosyć pięknym i miłym. Zagrała też parę sztuk krzyżowych osobliwszym kunsztem, że człek prawdziwie nie wiedział, czy słuchać, czy na te ręce patrzeć, które latały jak żywe srebro.

Noc była czarna gdy dano rozkaz do wyjazdu, aleśmy z sobą kagańce mieli... Spotkało nas tylko na wyjezdnej czego się nikt spodziewać nie mógł. Sala i pokoje w których siedzieliśmy, oknami wychodziły na ogród, dziedzińca więc wi-

dać nie było. W tym krótkim czasie, choć gospodarz i gospodyni byli z nami prawie nieodstępnie, djabeł czy kto tam wystroił na moście przeciw dworu, cale niczego bramę tryjfalną z zielonych drzew i gałęzi, lampami oświeconą i zdobył się na łacinę, bo wtransparancie stało.

*Ex tuis donis tibi offerimus...*

Było, nie można powiedzieć, gustownie i szykownie i w porę... Książę się odwrócił do Puzyny i szepcze mu.—Za serce mnie szelmy wzięli!—Niema co! panie kochanku... trzeba im Wulkę Zagrzebską oddać.

Tak tedy pierwsze owe odwiedziny książęce uczyniły państwu Krzyskim piękny do Tyszowa addytament—a tak zrzęcznie się do tego wzięli, iż ich jeszcze książę wojewoda prosić musiał, aby od niego przyjąć raczyli.

Tu już wszyscy poznali po trosze, iż bodaj ów Krzyski, którego wszyscy tak lekko szacowali, lepszy miał rozum niż drudzy i sprawy swe cale niczego prowadzić umiał. A no nie dosyć na tem.

W jesieni trafiło się wesele panny owój Sieniemianki, Różyczki, która się potrafiła wydać za bardzo bogatego człowieka, nie młodego już, wdowca w dodatku i ospowatego, jakby go kto grochem postrzelił. Gdyśmy ją prześladowali, odpowiadała—a co mi po gładkim, kiedy goły? Mąż aby trochę od diabła był przystojniejszy, to mam dosyć.

Tak tedy szła za mąż, książę wesele sprawił, i był rad jakos a wesół jak go już dawno nie widziano. Posłał dworskiego z zaproszeniem do Krzyskich, aby też przybyli na dziewiczy wieczór, a Zoryna służyła za drugą matkę pannie młodej. Wystąpił i pan Krzyski, cale inaczej niż dawniej. Czy mu ciałą znać garderobę poprzerabiano, ale znaku nie było owych pstrocizn którymi się okrywał. Wyglądał bardzo poważnie, ntył... zmęźniał—słowem szło mu widać jak pączkowi w maśle. I książę mu niechęci dawniej nie okazywał, — acz powiedział, że go polubił—nie można było...

To wesele póki życia pamiętać będę chyba, bo pocieszniejszego a śmieszniejszego i z większym humorem odprawianego—nie widziałem.

Panna młoda, pan młody, druchny, druhowie, czysto poszaleli. My też. Najmniej pono szczęście widać było na twarzy pana młodego, który znać dopiero teraz zmiarkował, że siła przyjaciół mieć będzie a i jejmość taką, że jój najtwardszy munsztuk niepomůže, chociaż się to wcale nie sprawdziło potem i żyli z sobą bardzo szczęśliwie. Tego jednak dnia zafrasowany chodził nieboraczek... Za to wpatrzywszy się woblizie księcia jegomości, które śmiało się a promieniało, myśmny też dokazywali. Jak tam ta mała Różyczka mogła w tańcu wytrwać, bo z nią każdy hasać musiał dnia tego,—ani wiem—ale pono natura niewieścia od naszej wytrwalsza, choć na oko słabsza. Caluteńką noc tańcowano, chociaż jakiś czas odprawdzanie, oddawanie marcypanów i oracyje trwały i mowy i cukrowa wieczerza; a no odwiódłszy państwa młodych, my do białego dnia zmijaliśmy się—Krzyski też placu dotrzymał... ale z powagą i bardzo statecznie...

Już nad rankiem po tem wińku bez miary, wszystkim się kwasu pragnęło i coś przetrącić, aby siły nabrać na dnie następne, bo na jednym się nigdy nie kończyło. Poszliśmy na śniadanie do małej szlaki przy pokojach księcia... pociągnął z nami i Krzyski.

Zobaczywszy go książkę...

— A cóż Krzyciu? już mi teraz nie powiesz, że ci w Tyśzowie nie dobrze, Wulkę dołączywszy jęć już masz co i jeszcze się grosza, panie kochanku, okroi.

— Z łaski w. ks. mości! rzekł do kolan schylając się Krzyski, wszystko chwala Bogu dobrze. Ja już więcj w mojem życiu nie pragnę, ale żona moja... jak to zwykle kobiety, jeszcze nie bez tego żeby do czegoś nie wzdychała.

— Patrzcie no? a do czegoż naprzykład panie kochanku, odparł wojewoda nieco zdziwiony, ale uśmiechnięty.



— E! o tem tam mówić doprawdy nie warto i trudzić uszy w. ks. mości.

— Ciekawym jednak, panie kochanku—ciekawym.

Krzyski zmilkł, skłonił się i na tem przestał, drudzy zagadali—rozmowa się przerwała. Księżę jednak pamięć miał osobliwszą; nazajutrz po obiedzie zetknął się z Krzyskim, wziął go za guz od żupana.

— A powiesz ty mnie, panie kochanku, cóż tam twój jęj-mości braknie jeszcze..

— A! mości księżę! różnił się Krzyski, to zwyczajnie niewieście kaprysy, szybki z okna, kafli z pieca, im nigdy nie dosyć.

— Ale czegoż się jęj zachciało ...?

— Eh! bo to ona strasznie swoje holenderskie krówki lubi....

— Toż je ma! zawołał księżę.

— Ale sobie z niemi rady dać nie może ani w Tyszowie ani w Wulce... Jakaś u nas pasza nie dobra.... Szczególna rzecz, obok w Maluniczach... małenstwo to jest—wypasy, łotocie takie... siano — że aż ją zazdrość bierze patrzeć co to tam za bydełko....

— Hm! hm, a jakaż na to rada? panie kochanku, spytał księżę—czyjeżto te Malunicze?

Krzyski zmilczał, wykręcił się, chrząknął, nieodpowiedział nic.

— Czyjeżto te Malunicze? powtórzył księżę....

— To malusieńka wiosieczka, chat nie wiem, czy piętnaście, tylko że łąki ma piękne.... rzekł Krzyski. Gdyby była do sprzedania, kupiłbym ją chętnie.

— Niechęć sprzedąć?...

Krzyski milczy. — Niechęć sprzedąć? panie kochanku? powtarza księżę.

— Z w. ks. mości dóbr nic się niesprzedaje... cicho szepnął Krzyski.

— A prawda! Małuniczne! he! he! to moje, prawda! przypominam sobie... tam były nawet bobrowe góry.

Krzyski milczał.

— I... dodał wytrzymawszy... bobrów już podobno nie-ma, a jeśli jest to może jedna lub dwie chaty, nie więcej.

— Powiadasz że kupiłbyś? spytał ksiązę.

— Mnie to tam potem nic, ale żonie człowiek chciałby o ile możliwości... wszystko czego zapagnie dostać.... rzekł Krzyski i westchnął.

Znowu rozmowa się przerwała... ale ksiązę poszedł zaraz do plenipotenty....—Czy to duża rzecz te Małuniczne, co tam gdzieś jakimś bokiem do Tyszowa przylegają? panie kochanku.

— One nie przylegają do Tyszowa, odezwał się Bogusławski, o ile się mnie zdaje....

— No, to do Wulki...<sup>3</sup>

— Może, i to chyba gdzie klinami....

— A cóż to warto? panie kochanku?

Chat przeszło dwadzieścia, las piękny, pastwiska przednie, pono i bobrowe góry... wioska doskonała....

Wieczorem wojewoda przysiadł się do pani Krzyskiej, ta jak się zdaje o Bożym świecie nie wiedziała. Pyta jej.

— Coś tam asieczka słyszę ze swoją holendernią sobie rady nie możesz dać? panie kochanku....

— Zkądże to w. ks. mość, wiész, — spytała śmiejąc się piękna Zoryna.

— Ja to mam swych szpiegów, panie kochanku... pono śmietanki w Tyszowie dobrej braknie?

Pani Krzyska śmiać się zaczęła....

— A tu na złość słyszę, w Małuniczach.... bydełko jak oblane....

— Ale któż to księciu o takich szczegółach donosi? Że to przy innych kłopotach może księcia zajmować, to już dowód osobliwej na nas łaski, za którą nie wiem jak dziękować, rzekła pani Krzyska.

— Ale czy to w istocie tak asindzkę martwi i kłopotczy? panie kochanku? zapytał wojewoda, bo jabym rad żebyś już była szczęśliwą i żeby ci tylko chyba ptasiego mléka brakło....

Pani Krzyska spojrzała z wdzięcznością na księcia nie odpowiadając ino wzrokiem a uśmiechem... Znać go te oczy za serce chwyciły.... i rzekł śmiejąc się....

— Moja dobrodziejko, ja wam Maluniczne do Tyszowa dam, panie kochanku, niech już kiedy stało na mięso i na sos dobry stanie.... a tobyście nigdy nie mieli porządnego gospodarstwa....

Rozczulona tą dobrocią wojewody pani Zoryna, chwyciła jego rękę, chcąc go choć w ramię pocałować, ale stary się wy-mknął.

Pobiegła do męża, ten z nią razem pogonił za wojewodą —protestując.

— Mości książę—zawołał, byłbym niegodnym tych łask, jakimi mnie w. ks. mość opsypujesz, gdybym ze wspaniałości jego korzystał. Ludzieby powiedzieli, żem się przy-mówił, że... Nie! mości książę, niech będzie co chce, my tego daru przyjąć nie możemy....

Ale z wojewodą nie było sposobu, gdy raz co rzekł, to wszyscy wiedzieli; próżnem więc było owo wzdraganie się i czy-stą prawdę rzekłszy, komedyja tylko... Koniec końców, padanie do kolan, dzięki, łzy, oświadczenia wdzięczności dozgonnej, a Maluniczne przy Krzyskich zostały.

Po weselu posłał im książę akt formalny, a Krzyski też zajął w posiadanie co najrychlej, i jeszcze tak manewrował, że mu na zasiów zboża zostawiono i coś tam remanentu....

Nie wyszło pół roku, pojechaliśmy całym dworem do Białej na Podlasie, bo tam jakiś czas przebyć życzył wojewoda. Z Nieświeża regularnie szły pocztą, raporty, listy, i dworzani książę, to tych to owych posyłał; bo choć mu w Białej było też jak u Boga za piecem.... ale Nieśwież swój kochał nadewszyst-

ko. Tn on w domu, przecież czuł się niby gościem. Niebyło dnia, żeby do niego nie westchnął... Bywało, gdy poczty przywiozą, a nim tam rozbiorą i przygotowują, schodzi z korpusu pałacowego, w którym mieszkał, do oficyn do kancelaryi, żeby przędzój się o czem dowiedzieć. Pan tak mnogich włości, miast, zamków, a sam byłem świadkiem, gdy się dopytywał o ulubione klacze, czy się nie poożrebiały i o psiarnię i o zwierzyniec. Tandem jednego dnia, przychodzi z listami Bogusławski... a był ich pak gruby, aż się wojewoda przeląkł.

— Tylko mi, panie kochanku, nie referuj wszystkiego, rzekł—niech cię paraliż nie ruszy... w głowie i tak mam dosyć, to by się już nie zmieściło... tak... z gruba tylko... co lepszego.

Bogusławski siadł, jedne, drugie odczytał—potem podaje list księcin... wojewoda rękę odsunął.

— Daj mi pokój? oczy mnie bołą?—od kogo?

— Od państwa Krzyskich?

— A! książę mruknął... Niéma tam pewno nie pilnego, tylko komplementa w cukrze smażone...

— Zdaje mi się, że jest prośba do w. ks. mości.

— O! o! tegoby już było nadto — przerwał wojewoda, czegoż u diabła chcą, żebym im z Nieświeża nastąpił? Dałem Tyszów, Wulkę, Malunice, a jeszcze nie dosyć?

I wysapawszy się dodał...

— No, czegoż chcą? o co proszą, panie kochanku...

— Na chrzciny zapraszają! śmiejąc się dodał Bogusławski.

Porwał się wojewoda klasnąwszy w ręce...—nie może być!  
—Cóż to, cud się stał... Na chrzciny! proszę! a cóż tam Pan Bóg dał?

— Syna, mości książę, rzekł biorąc list Bogusławski. Sama pani pisze, iż go tylko z wody ochrzczono, a z ceremonijami na w. ks. oczekiwać będą....

— A! to poczekają długo—rzekł wojewoda... ja niepojadę! Widzisz, panie kochanku, między nami mówiąc ten Krzyski, wyglądał na arlekina, a w rzeczy to kuty chłop, tak mnie

do kieszeni rękę włożyć, panie kochanku, ani się obejrzysz.... Nie pojedę... znowu im się czego zachce... a no—dosyć.

Śmiał się Bogusławski

Ale tu mości ksiązę, rzekł z listu czytając, pani Zoryna Krzyska dodaje *manu propria*, iż gdyby chłopcu lat dwadzieścia na chrzest czekać przyszło, nie da go nikomu trzymać tylko w. ks. mości i o Karola imię prosi, aby wolno było mu go dać.

Ksiązę bardzo lubił się zawsze uskarżać.... skorzystał więc z téj zrzeczności.

Byłem przytomny.

— Wolę od, isać i posłać nowonarodzonemu jaką kukłę i nie jechać sam.—Oni mnie tam znowu obedrą, człowiek sobie podochoci, chwycą za słowo. Choćby i go'ówką co, a trz ba będzie dać, a wiem, że teraz sto złotych w kieszeni nie ma... już u arędownców, panie kochanku, na kwitki biorę.... Niechaj sobie czekają. Odpiszcie, że jam się zarzekł dzieci trzymać do chrztu, bo mi się nie chowają... które tylko dotknąłem, do drugiego roku nie dożyło.... Nawet po téj nieszczęśliwej Nepcie nie mogłem się szczenięcia dochować.

Odpisano grzecznie, pięknie i na tém się skończyło, a na jesieni powróciliśmy znowu do Nieświęża.

Było jak dziś pomnę, polowanie w Nalibockiej puszczy, a że na zwykłej drodze mosty były popsute, musiano na Tyszów nawrócić. Ksiązę się bał zajeżdżać i dał wcześniej rozkaz, ażeby przez wieś się przemknąć, nie wstrzymując nawet dla wysapania koni. Ktoś jednak z dawnych przyjaciół, czy która z przyjaciółek Zoryny donieść musiała. Wyjechaliśmy o brzasku, tak że rano jeszcze pokazał się ów Tyszów. Powozy weszły na groblę; nagle u młyna.. Stój! stój! — Ksiązę wołanie słysząc wyjrzał.. Co tam? ruszaj—a konie stoją, — Posłał dworzani na myśląc, że się co popsuło. Jako żywo, tylko u młyna był łuk tryjumfalny z zieleni i stół zastawiony do śniadania... Sama pani Krzyska przystąpiła do powozu...



— Mości książę, odezwała się — kiedyś już nie łaskaw na sługi swoje, abyś ubogą ich chatę nawiedzić raczył, pozwól że im, aby Cię choć na drodze przyjęli...

Książę wysiadł, pocałował w rękę panię Krzyską... trochę się rozchmurzył, ale od przekąski się wymawiał.

Nie było sposobu, tak go serdecznie i pięknie proszono.. Krzyski stał z czapką pod pachą w postaci tak uniżonej a pokornej, i jejność uśmiechała się tak wdzięcznie, a tnż pod młynkiem oparę kroków na umyślnie urządzonym pomoście wysłanym dywanami, zastawione stoły uśmiechały się flaszami i sutemi półmiski.. Dworzanom księcia po przejażdżce apetyt na te przysmaki przychodził i ślinka ciekła. Ucieszyli się wielce gdy książę dał się skusić i jejności prowadzić do krzesła.. Dla księcia bowiem paradne, szerokie niemal jakby tron wystawione było... Wojewoda obejrzał się raz i drugi, widocznie bowiem zaproszenia na chrzciny musiał się lękać, a nie nie zobaczywszy, co by je zwiastować mogło, siedł do stołu... Tylko co Krzyski już zdawał się zabiierać do częstowania, gdy drzwi młyna się otworzyły... i wyszła wystrojona mamka niosąc na poduszce okryte zasłoną dzieć — tuż za nią kroczył ksiądz proboszcz w stule i komży i zjawiała się pani podstolina Ciechanowiecka, którą książę szanował wielce... Śmiejąc się z uczynionej siurpryzy, książę jednym rzutem oka objął wszystko, nie było tn już co się wymawiać, ani odrzekać, dzieć do chrztu musiał trzymać.

Podstolina stanęła jako kuma, w drugiej zaś parze pan Rejtan z panią Wołodkowiczową, która téż we młynie była nkrzyta, póki by księcia zatrzymać się nie dało...

— No, panie kochanku, starego niedźwiedzia wzięliście w sieci.. wpadł w matnię, niema co.. rzekł książę—ale nie dopuszczę, żeby dziecko marzło, bo wiatr chłodny, i żeby podstolina się zaziębiła. Niech kto ma ochotę na polowanie jedzie.. a my do dworu...

Część więc dworzau i umyśliwych odprawiono do Naliboków, aby tam oczekiwali na wojewodę, a nas kilkunastu posłaliśmy

jakby z procesyją do dworu. Znać oni się tam tego spodzielali, bo wszystko się znalazło w pogotowiu, i stół dla księdza przykryty z krucyfiksem i świecami, i w jadalnej sali objad i wina i czego tylko mogli goście pożądać. Pani Zoryna Krzyska przybrana bardzo pięknie, w klejnotach . . . wydawała się jakby królową, nawet przy podstolinie, która była wielce poważną matroną; sam Krzyski, prawdę rzekłszy, wyglądał na marszałka jej dworu . . . ale bardzo jednak przyzwoicie. Pozbył się zupełnie tego rzucania łbem jak narowista szkapą i tych krygów a łamanin kuglarskich. Ubiór też miał skromny a nowy i bogaty; ciągle przy księciu, talerze mu nosił, półmiski podawał sam, słowem dworzanina służbę pełnił. Książę wojeda nieprzygotowanym był na zwykłe prezenta dla synka chrzestnego, kumy i dworu, rodziców, — bo gdy on kogo do chrztu trzymał, zwykł był wszystkich obdarzać; pchnął więc zaraz od młynka, szepnąwszy mu coś w ucho, starszego dworzanina, który miał wrócić przed wieczorem . . . Sąsiedztwo znać sproszone zaczęło się zjeżdżać, a między innemi zjawił się rejent Kaczura.

Zdziwiliśmy się wszyscy zobaczywszy go tu, boć pewnie proszonym być nie mógł dla tego samego, iż jego przytomność wielce księciu musiała być nieprzyjemną. Widziałem jak pani Krzyska zobaczywszy go ręce załamała i pobiegła się znać przed księciem tłumaczyć, iż sam tu nieproszony wlaźł . . . Krzyski się też skrzywił ujrawszy go, lecz jak należy przywitał. Sława pana rejenta szeroko była głośną, a książę inaczej go nie nazywał tylko *ten kauzyperda*. Była tam jakaś okoliczność, w której on przeciwko Radziwiłłowi występując w procesie, wszystkich plenipotentów wojewody podszedł i niemiłosierdzie go ociał. Książę nie tyle dla straconych pieniędzy, co dla przegranej, Radziwiłłowi nader przykrój, znieść go nie mógł. Kauzyperda człek już był stary, wyszczekany jak mało kto w świecie, flegmatyk, chłodny, wytrzymały, nieulekniony, znający ludzi na wylot, a zręczny piekielnie. Czego się on dotknął, musiał przeprowadzić — przegrał razy



trzy, a zawsze *de noviter repertis* powracał; w końcu zmęczył, znudził, zhasał tak, że na swoim postawił. Z powierzchowności był niepozorny, chudy, średniego wzrostu, twarz blada, wąs rzadki jak trawa na piasku... łysy... oko małe a głęboko white... Przywitawszy się z gospodarstwem, poszedł wprost do księcia wojewody, nisko się pokłonił, rękę do ziemi aż przykładając, a choć książkę nie bardzo chciał go widzieć, zmusił do kiwnięcia głową. Trudnoż go było choć natręta za drzwi wyprosić — ale to znacznie humor księcia już i tak nie-najlepszy, popsuło.

— Kaduk go tu wniósł—mówiliśmy po cichu. Notabene kauzyperda nigdy bez przyczyny nie jeździł, a że się tu facytował, nie było już bez kozery.

Niémań na to najmniejszego dowodu, ani na pewno utrzymywać mogę, żeby kauzyperdę umyślnie tu Krzyski sprowadził w pewnych widokach; przecież, że on przypadkowo się tu przybłąkał, przysięgaćbym nie chciał. Ow Krzyski, jak się to całem życiem ukazało, człek był umiejący chodzić około swoich interesów.

Kauzyperdę zaproszono do śniadania, a książkę widocznie widzieć go nie chcąc tak manewrował, iż się z nim nawet oczyma nie spotkał. Gdy do stołu podano, poszedł Kaczura z innymi i siadł opodał wprawdzie, ale tak, by wojewody z oczów nie stracić. Do rozmowy kilka razy się wnięszał... nie odpowiedział mu nikt, to go bynajmniej nie zraziło.

Wino było co się zowie przednie, kielichy krążyły gęsto, czekał znać aż się gło-y rozgrzeją... W istocie pod koniec objadu weselę się zrobiło, rażniej; rejent téż parę razy potrafił słówkiem dowcipnem śmiech obudzić, chociaż się sam nie śmiał nigdy... W ten sposób jakoś się zaintrykował między rozmawiających... Książkę, około którego ze szczególną pieczołowitością pani Krzyska chodziła, ujęty jój gościnnością, rozczulony wspomnieniem lat młodych, zwolna coraz stawał się weselszy i parę razy już coś rzucił tak po swojemu, co zwiastowało, iż zapomniiał ranego kwasu. Nad wieczorom z Nieświe-

za wrócił posłany i przywiózł, co mu znać polecono... tak, że oprócz tysiąca czerwonych dla dziecka, dostało się coś każdemu. Kanak bardzo piękny matce, ojcu zegarek przedni, pani podstolinie pierścień kosztowny. Mamkę, że była z sąsiedniej wsi Radziwiłłowskiej, oprócz rękodajnej sunki jaką dostała, obdarzył ksiązę uwolnieniem z całą rodziną dożywotnie od dworskich powinności i opłat...

Gdy się to wszystko rozdawało, a obdarzeni każdy na swój sposób dziękowali, kauzyperda stał i uśmiechał się.

— Bodaj to, rzekł zwolna, mieć łaskę u księcia jegomości i jego się trzymać klamki... bięda nie dobodzie! Znane też szerokie złote serce naszego księcia wojewody — ale co po tem, co po tem, kiedy ksiązę musiałeś coś szatanowi uczynić, bo on figla spłata, aby to co ksiązę czynisz w najlepszej intencji nigdy na dobre nie wyszło...

Ksiązę podniósł oczy.

— Masz asindziej słusność, podchwycił żywo; raz u mnie szatana złapali w Nalibockiej puszczy, tom go moczył dni trzy w święconej wodzie, pazury mu poobstrzygano, tak, że słyszę dotąd nieodrosły, i ogon mu kazałem anglezować... Otóż ostatniej krzywdy nigdy mi darować nie może — ale, powiedz mi rejenje—skąd że ty to wiesz, iż djabeł przerabia, co ja robię?

— Jakże niewiedzieć i niewidzieć co w oczy bije — odezwał się niezmiészany kauzyperda.—Policzyłbym na palcach tych, których ksiązę obsypywałeś dobrodziejstwami... a wszystkim to bokiem wylażyło...

Ksiązę westchnął—boć był w tem choć pozór prawdy.

— Chwała Bogu tylko, że się to do czcigodnej mojej pani Krzyskiej nie stosuje, zaśmiał się wojewoda, ta widać ma sposób jakiś na odpędzenie djabła, boć nie powiecie, żeby się w Tyszowie nie wiodło.

Kauzyperda ramionami ruszył.

— Do czasu, mości ksiązę, odpowiadał, ale ja już z góry przewiduję, że i tu się bięda zagnieździ...



— A którędyż ma wleść? co asindziej mówisz! poczęli razem i Krzyski i Krzyska... Daj rejencie pokój, na co masz nam w taki dzień być prorokiem niefortunnym...

— Za pozwoleniem—ozwał się rejent, proszę mnie wysłuchać. Nic mówię tego w złej intencji, jam człek praktyk, dużom chleba jadł z różnych pieców i soli z wielą ludźmi podobnym.

Krzyscy chcieli niedopuszczyć, lecz książe był ciekawy.

— A no—no, dajcież mu mówić—niech zrozumie... proszę, proszę...

— Jakes łaskaw panie Krzyski, rzekł rejent, masz też mapy swoich posiadłości Tyszowa, Wulki i Małunicz?

— Mam i właśnie uprosił pana geometry i komornika, że mi to na jedną kartę zrysował...

— Macie ją pod ręką? zawołał Kauzyperda...

— Jest w mojej izbie...

— Prosimy o nią—dodał wojewoda.

Krzyski musiał iść, w kilka minut potem, pachołek za nim wniósł blaszaną rurę, wielką jak sznigownica, z której dobyto na płótno naciągniętą mapę dóbr państwa Krzyskich, *cum attinentiis, acuratissime delineatam* przez księżęcego geometrę. Rozłożono ją na stole, a że po długim zwinięciu, trzymać się przeto nie chciała. Ponaciskano ją butelkami i bułkami chleba.

Rejent stanął w pozycji jakby do tańca z ręką wyciągniętą, książe z założonemi w tył rękami i głową pochyloną, bo już wzrok miał słaby—i tuż poczęło się demonstrowanie.

— Najprzód zwróć uwagę księcia jegomości na figurę majątku...

Co za figura? czy rak? czy salamandra? wykęsów mnóstwo, nigdzie stałej granicy, używalności tylko i kwestyje... które prędzej później powschodzą bujnie... Ot jest Tyszów—tak... figura długa, dwór w jednym końcu za wsią, w drugim pola... ale to u nas pospolita rzecz... Dalej przytyka prawda też do dworu Wulka... jednym bokiem? he! a to... proszę iść za



palcem moim, fajt! granica poszła w górę, pobiegła i znikła... Wulka przy Tyszowie wygląda jak brodawka na nosie... To jeszcze nic... Maluniczko położone są za Wulką i z nią graniczą płosą jedną... ani słowa... Proszę jednak wejrzyć... między Maluniczami, Wulką a Tyszowem... któremu wpakowały się ogromnym lasy Zasypiańskie... tak, że chcąc naprost z Tyszowa do Malunicz choćby furkę gnoju przewieść, trzeba się przez cudze grunty przebierać... I to mości księżę nie kliniek jest, nie ząbek, ale trzydzieści do czterdziestu włók gruntów, ile z oka wnioskować mogę. Jak komu wbiją taki klin między żebra... nie łatwo mu dychać... Przyznasz mości księżę, że wielkie łaski jego dla czcigodnych państwa Krzyskich w przyszłości też brzemiennie są wielkim kłopotem... Jabym te lasy Zasypiańskie nazwał *djablin chrustem*...

Kauzyperda począł się śmiać, reszta osób stała milcząca, księżę schylony nad mapą wodził oczyma po niej i usta wydawszy znać nie wiedział co odpowiedzieć.

— Pokażno mi lepić asindziej — odezwał się, gdzie tu klin... zkąd, dokąd on idzie? jak?... Wszak to są tylko lasy...

— No! lasy i bagna—dodał kauzyperda... ale kawał tego... ot... widzi księżę... gdzie róg Malunickiej granicy, gdzie Tyszów... a o téż Wulka... Temu nie przeczę—rzekł wiodąc palcem przcz białą część mapy, iż gdyby od tak zwanego Białego hruda poprowadzić przez puszcę trybem linią do Tyszowskiego boru, tam gdzie oznaczone uroczysko Baki... figuraby była piękna i zaokrąglenie szczęśliwe... lecz to nawet *in futuris* niepodobieństwo... zaśmiał się—djabeł nie dopuści...

— No—no! rzekł wojewoda—ja czasem i z tym paniczem rady sobie dać umiem... niech się państwo Krzyscy nie frasują tak bardzo... a toby już na to wyjść chyba musiało wedle rejenta, co mówią o chłopie, któremu bies pełne kieszenie dukatów nasypał—cóż gdy do domu wróciwszy po kurach... znalazł tylko liście zamiast złota. Miałyżby i moje dary być tak fałszywe jak djabelskie?...

— Ale moiści książę—gorąco i patetycznie ozwał się Krzyski—ja przynajmniej to mogę poświadczyć, iż wszystko com z łaski jego miał, wiodło mi się i prosperowało... Żona też moja poświadczy jak nam ręką szło... a co się tycze tych Zasypiańskich lasów, co one nam szkodzą! Raczej my im, bo chłopu nam trudno utrzymać, pod bokiem cudzy bór, więc i z Tyszowa i z Malunicz i z Wulki okrutną tam szkodę robią; dziś pilnuję jak umiem i mogę... Tną a tną... zabiérają im chudobę, procesa... to prawda... kłopotn... toż przecie nie mnie jednemu.

— Tak, począł rejent Kaczura, dziś to jeszcze jako tako.. a kto przewidzi w czyje się to ręce dostanie, jaki będzie zarząd? Ziarenko jest i wnijdzie! to! to! ja się to na tem znam.. Już to ten którego i wy dziś tu chrzest obchodzili, kiedyś dozna co to znaczy taki klin w boku...

— Ale panie rejencie, ofuknęła Zoryna... dałżebyś pan pokój, proszę.

— Milczę, moiścia dobrodziejko, milczę, w dzień tak szczęśliwy i dla domu ich pamiętny, Kasandrą tu być nie chcę.. ani księciu którego jestem wielbicielem, humoru psuć...

— Ty panie rejencie—obruszył się wojewoda, moim wielbicielem? To coś nowego! albo i to drugie... myślisz, że mi teraz humor psujesz? Furda, moiści panie, jako żywo...

— Żem jest szczerym wielbicielem waszój książęcój moiści żem nim zawsze był i do zgonu być nim nie przestanę—powolnie począł rejent gestykulując jakby przed kratkami stał — tego dowieść się ofiaruję. Jeśli w. ks. mość tych tylko zasługi swe uznajesz, którzy mu słodycze prawią aż do nauzij a prawdy gorzkiej a zdrowej jak piérz nie podadzą nigdy, do tych się ja liczyć nie mogę, natura moja i smnienie nie dozwala — jeśli zaś... na głąb serca zechcesz w. ks. mość wejrzeć...

— Mój panie kochanku—przerwał książę nagle, na sercebył rad patrzeć, ale naprzód teraz nie pora, chyba gdy jegomości wyegsenterują... powtóre... mnie się wszystko zda, iż się okaże, że go natura nie dała...

— A jakżebym żył bez niego? spytał spokojnie rejent.

— Widzisz asindziej, odrzekł wojewoda, gdym jeździł do Hiszpanii po tabakę dla księcia prymasa, ażeby się tym sposobem z Poniatowskimi przejednać, trafiło mi się spotkać w Salamance z uczonym doktorem. Ten mi zaręczył, panie kochanku, iż trzystu osiemdziesięciu zezesiu [nieboszczyków otwierał, a na nich wszystkich ledwie u trzydziestu i czterech znalazł serce... panie kochanku.

— A u innychże co było w tem miejscu? uśmiechając się zapytał kauzyperda.

— U innych! kto go tam wie! hiszpanie często łąga, panie kochanku, mówił książę, jednakże pokazywał mi notatki... w miejscu serca u niektórych były otrąbie, u innych worki zupełnie do sakiewek podobne, nawet zielone, — kamienie, cegły, i różne ingrediencyje, panie kochanku.

Na tem się skończyło jakoś. Rejent udawał, że święcie wierzy, śmiali się inni. Książę począł opowiadać o Hiszpanii, zajechał dalej na księżyc, a że nazajutrz rano do Naliboków miał jechać i wczesnie się chciał spać kłaść, odprowadził go Krzyski sam dwie świece w lichtarzach przed nim niosąc, do sypialni... Utkwiła przecież znać rozmowa z rejentem w głowie wojewody tak, że w kilka dni potem posłał chrzestnemu synowi darowiznę lasów Zasypiańskich, rozkazawszy trybę wybić wedle poddanej myśli, tak iż cały klin do pięćdziesięciu włók puszczy i z najpiękniejszego towarne go lasu, dostało się Krzyskim. Bo jak żywo Bogiem i trzęsawisk tam nie było żadnych i drzewo zaoszczędzone, masztowe, tak, że w następnych latach za same najpiękniejsze sosny wzięli parę tysięcy dukatów.

Dawszy się jednak tak złapać na grobli w Tyszowie i wspomnienia pięknej Zoriny oplaciwszy dosyć słono, wojewoda unikał odtąd podróży przez grunta Krzyskich i jakiś czas mało się z niemi widywał.

Wszakże na wszystkie uczty i uroczystości obchodzone w Nieświeżu zapraszani bywali, i wojewoda okazywał samę pani dawny afekt i poszanowanie. Drugich chrzcin nie było się

co już obawiać, bo oboje państwo nie pierwszój byli młodości; a już i więcej z księcia wziąć było trudno, bo ich obdarzył jak mało kogo. Za każdym razem gdy ich widział w Nieświeżu, o małego Karolka się dowiadywał, a Krzyskiego pytał, czy mu tam djabeł nie przeszkadza... lecz zawsze tylko dziękczynienia odbierał...

W lat pono pięć po tych chrzcinach, jeśli dobrze sobie przypominam, jednego rana znajduję księcia podpartym na łokciu, nad listem rozłożonym, zamysłonym i smutnym. — Patrzno asindziej panie kochanku — rzekł do mnie — wszak ta biedna Zoryna... umarła! Dalipan nie wiem, nie uskarżała się nigdy żeby jój źle było... wszyscy mówią, że Krzyski przed nią chodził na palcach — a przecież mam to przekonanie, panie kochanku, że ten kuglarz ją zameczył. Kobięta uczciwa i rozuenna tała się ze swoją biędą, a szczęśliwą być nie musiała.

— A z czego umarła? spytałem...

— Kaszlała.. musiała suchot dostać... panie kochanku odezwał się książę smutnie — bięda na świecie. Zaprasza mnie na pogrzeb — ale nogi mam popuchłe... nie mogę być, jedźcie wy... i niech tam pomogą, jeśliby czego potrzebowali...

Jechaliśmy więc z rozkazu książęcego do Tyszowa, — i znaleźliśmy Krzyskiego wybladłego, smutnego, płaczącego, aż za serce nas pochwycił tem strapieniem, bo się rozpadał przy trumnie, a w kościele na głos szlochał, że utulić go było niepodobieństwem. Stypę sprawił co się zowie piękną, i duchowieństwo, którego tam było mnóstwo, uraczył, obdarzył, nakarmił i napoił należycie.

O czem wszystkiem księciu doniesiono, oraz i o tem, iż żonie zaraz monument piękny wznieść kazał i tablicę marmurową sprowadził, do której przeor napis łaciński skomponował. To go w opinii wojewody podniosło tak, iż gdy w żałobę odziany przyjechał księciu podziękować i sierotkę swą polecać, przyjął go książę mile i jak nie może być względniej. Żałość też swą nad stratą jejmości wyrażał tak wymownie, tak obfite-



mi słowy, z takimi łyzy i szlochaniem, iż w nas wszystkich politowanie wzbudzał...

W kilka tygodni zjawił się w Nieświeżu i przywiózł z sobą małego Karolka, który dziwnie piękną swą matkę nieboszczkę przypominał i roztropny był nad swój wiek, tak że pani jenerałowa Morawska i inne damy, które się podówczas w Nieświeżu znajdowały nabawić się nimi nacieszyć dosyć nie mogły.

Ojciec też dla jedynaka okazywał afekt osobliwszy, narękn go nosił, pielęgnował, pieścił, całował, aż się dziwiono, że mu razem matkę niemal zastępował.

— Ale cóż, rzekł naówczas przy księżcin, pieszcząc to piękne dziecko, ja mu i największą czułością nie zastąpię téj, którą utracił; troskliwości i starań macierzyńskich żaden ojciec nie wynagrodzi, kobiety dla takiego chłopięcia trzeba... aby o niem pamiętać umiała. Człek to przy gospodarstwie, to na wózk, kłopoty tysiączne.. a dziecko się marnuje...

Od czasu do czasu zaglądał tak do Nieświeża, to z Karolkiem, to sam, zawsze dobrze przyjmowany... aż nareszcie jednego wieczora, gdy odjechał... ksiązę nagle zawołał:

— To frant! panie kochanku!...

— Kto? spytał Zabłocki.

— A no, ten wasz Krzyski żałobny.. wszak ci to on mi się kręci tu już nie darmo, dziś z półgodziny rozmawiał z panną Jadwigą Osuchowską... Błądził wprzód około ospowatej Szerczyńskiej, ale znać się opatrzył, że szpetna.

Nikt z nas tego ani przypuszczał, żeby Krzyskiemu nowe śluby w głowie być mogły; tem mniej, żeby pomyślał o pannie Osuchowskiej, która była młodsza od nieboszczki, nie tak wprawdzie piękna, ale dosyć majątna. Liczono ją na lat trzydzieści i parę, wyglądała jednak świeżo. Ksiązę się w nią nigdy pono nie kochał, ale ją lubił, bo słuchać go umiała i odpowiedzieć składnie i humor miała osobliwszy, który ją nigdy nie opuszczał.

— Mości ksiązę, odparł Zabłocki, jeszcze panna Szerczyńska, jak sobie chce, mogłaby za niego pójść, aby sakramen-



tu zakosztować zdesperowawszy pono o nim... ale panna Osuchowska...

Śmieli się wszyscy, tak się to nam zdawało niepodobieństwem; książę téż głową trząsk—nie będzie z tego nic... panie kochanku.

Tymczasem Krzyski przyjechał raz, drugi i trzeci i czwarty i coraz się stawało widoczniejszym, że nie czekając końca żałoby, konkurował. Panna ni to, ni owo, przyjmowała go zrazu z góry jakoś nań patrząc, potem poczęła słodzić, na ostatek czy nawykła, czy ją słówkami jedwabnymi skorumpował, czy czary jakie w tem były — widocznie mięknąć. Wojewoda to spostrzegłszy stał się markotnym; wziął go na bok...

— Co ty sobie myślisz, panie kochanku, rzekł, będziesz mi ty tu po jednej wszystkie panny z Nieświeża wybierał? Jak ci nie wstyd? jeszcześ tamtęj nie opłakał, a już o nowym ożenku myślisz...

— Mości książę, zawołał Krzyski, nie zapieram się—ale nie winien... przez miłość dla nieboszczki, dla nigdy niezapomnianej, dla dobrodziejki mej Zoryny, o żonę starać się muszę... Inaczej droga spuścizna po niej, Karolek, bez opieki macierzyńskiej się zmarnuje... a gdzież mam szukać żony jeśli nie pod skrzydłami w. k. mości, dobrodzieja mojego....

Wnet się i rozplakał i chustki dobył i jak zaczął perorować a jęczyć, łkać i narzekać, książę ramionami ruszywszy, dał mu pokój. Cóż państwo powiecie, poszła za niego panna Osuchowska, i w Nieświeżu znowu odprawiło się wesele i książę j. mość dał do posagu addyament...ale od tego czasu tak był z Krzyskim ostrożny, tak go unikał, tak obchodził, iż się już więcej nie dał mu pociągnąć. Nie bez tego, aby prób nie było...przyjeżdżała żona i bawiła tygodniami we dworze, przybywał on, wojewoda przyjmował grzecznie, ale gdy Krzyski o swych interesach przebąknął, zbywał go milczeniem, a do Tyszowa choć go tysiącnie zapraszano nie pojechał więcej. Zdawało się tedy, iż więcej Radziwiłłowskiej kieszeni nasz Krzyski nie ukąsi — a no stało się inaczej w sposób wiel-

ki, nieprzewidziany. Jakkolwiek dochody z dóbr były ogromne i kredyt niezmierny, gdy przychodziły kontrakty na Św. Jan często trudno było na wszystko starczyć; pożyczano, brano ze wszech stron, i z rąk różnych czasem na większe warunki. Raz trafiło się wśród roku, gdy nikt pociechy nie miał ze szlachty, że księciu pięciu tysięcy dukatów było potrzeba, dla jakiejś sprawy, która wielką groziła stratą. Szukano tego grosza ostrożnie, aby się nie rozbębniło to... a choć mało kto wiedział potrzebę, jednego dnia stawi się Krzyski do księcia i prosi o kilka słów na osobności. Książę sam później opowiadał jak to było. Przyjął go zimno, bo zawsze się miał na baczności i lękał jakiego podejścia. Krzyski przybywszy z pokorą wielką, do kolan się zgiął i począł od wyrażenia nieskończonej swój wdzięczności dla dobroczyńcy.

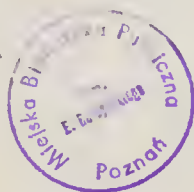
— Niechże mi będzie wolno, dodał robakowi mizernemu, choć raz mieć to szczęście, abym odrobinę przynajmniej wdzięczności niezmierzonej, dowiódł czynem. W. K. Mość kazałeś się starać, o tem wiem, pięciu tysięcy dukatów, przywożę sześć i składam u nog waszych...

Książę osłupiał zrazu, nie chciał brać... potem, że potrzeba była pilna, zgodził się przyjąć i skrypt kazał wydać. Krzyski odmówił go i prosił, aby się mógł dogodniej dla księcia ułożyć z plenipotentem,—ale układ przeciągnął, nie robił go na razie, powiedział, że później przyjedzie...pieniądze tymczasem użyte zostały. W parę tygodni gdy ich już nie było, przyjechał na komiserję. Znowu go poczęstowano skryptem—odmówił. Wyszło szydło z worka — jakiegokolwiek zastawki prosił, byle tam jakiej...aby mieć na czem pracować.... Zrazu pieniądze oddać myśłano, lecz w kasie jakoś nie było...zresztą zastawkę w każdej chwili wykupić można...dano mu parę wsi koło Mira, a kontraktu zastawnego on i rejent Kaczura pilnowali tak dobrze, iż weń kruczków napakowali dowoli...To pewna, że o wykupieniu wiosek nie słyszał, a o tém, że je Krzyski trzymał i trzyma

wiem dobrze i dorobił się wcale znacznego majątku. Księżę o nim dawno powiadał:

— Modłę się, panie kochanku, na tę intrację, żeby pan Bóg Krzyskiej dał zdrowie; uchowaj Boże by zmarła, przyjechałby po trzecią do mnie, a z nią by mi już Nieświeżczynę zagarnął...

K O N I E C.



21 -

9555 100285

Biblioteka Raczyńskich

JIK 848



JIK0848